Nr. 38. Warszawa, dnia 6 (18) Września 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentów kwartalnych prosimy o odnowienie przedpłaty.

POLITYKA.

NA KUBIE.

Po długiem milczeniu, przerywanem tylko doniesieniami o liczbie chorych żołnierzy hiszpańskich i liczbie wziętych do niewoli powstańców, o środkach polityczno-policyjnych przeciwko przestępcom przez rząd Alfonsa XIII schwytanym i środkach wojennych przeciwko bandom nieprzestającym niepokoić armii i wiernych poddanych króla katolickiego — telegraf przyniósł nareszcie wiadomość o wypadku na placu boju: warownia Victoria de las Tunas, we wschodniej części wyspy, d. 30 sierpnia wpadła w moc buntowników. W Hiszpanii wywołał ten telegram: gniew, smutek, rozczarowanie. Po trzech latach walki, zasilanej coraz to nowymi ładunkami żywego i martwego materyału wojennego, pomimo liczebnej i taktycznej przewagi, jaką daje nagromadzenie najmniej 100,000 wojska z odpowiednią artyleryą, pomimo zapowiedzi i obietnic i zdawkowej sławy wodza, pomimo tylu ciężarów poniesionych i w ludziach i w pieniądzach przez kraj macierzysty — powstanie trwa, trzyma się, żyje i jeszcze odnosi zwycięstwa, tak wymowne, tak rząd prawidłowy prawdziwie hańbiące, jak zdobycie warowni przez siłę, którą on narodowi swemu za hałastrę awanturniczą uważać każe. Nie, tego nie przewidywano w r. 1894, gdy pierwsze posiłki zbrojne odpływały na zbuntowaną wyspę. Słynny wał strategiczny gen. Weylera okazuje się szeregiem babek z piasku, robionych przez dzieci, a jego sława jest równie śmieszną, jak jego zapewnienie po klęsce, że wyrusza już w pole i utracone stanowisko niezawodnie, w jednej chwili, od jednego zamachu odzyska.

Powstańcy kubańscy nie wzięli warowni ani zdradą, ani nagłem zaskoczeniem: od 14 sierpnia oblegali ją prawidłowo, odcięli od okolicy, robili podkopy, sypali szańce, ustawiali armaty, z armat tych walili, aż ostatecznie działaniami swemi sprowadzili jej poddanie się, w chwili gdy już nie miała ratunku i nie poddać się nie mogła — nie mając zgoła pola na śmierć bohaterską. Oddziały powstańcze działały zupełnie tak, jak prawidłowe wojsko, i gdyby charakter ten wystarczał do uznania za stronę wojującą — jużby nawet dyplomacya za prostych buntowników uważać ich nie mogła. Na rozsądek i namiętność polityczną Stanów Zjedn. Ameryki północnej wypadek, który spotkał Victorię, wpłynął podniecająco. Można przewidywać nowe wrzenie, docierające do gabinetu w Białym Domu, a za nim się ożywi kapitol waszyngtoński, ludzie robiący zawczasu politykę kongresową, nie zasypią gruszek w popiele. Kuba ma w Unii wielu przyjaciół czystych, którzy pragną dla niej i tylko dla niej, lepszego życia przez wolność; ma jeszcze więcej przyjaciół interesownych, którzy jej to lepsze życie zapewnić pragną tylko w zespoleniu z wielką rzeczą pospolitą, stojącą na straży zasady Monroego „Ameryka dla Amerykanów."

Powstanie może mieć jeszcze koleje nieszczęsne i zakończyć się klęską, po której nastąpi spokojne panowanie hiszpańskie na wyspie znowu przez jakie lat dziesięć. Nie będzie to rozwiązanie kwestyi: będzie tylko jej odwleczenie aż do następnego wybuchu i starcia. Potrzebaby przypuścić wystąpienie nowych jakichś czynników, aby uwierzyć w rzeczywiste trwałe już uspokojenie samą przewagą oręża hiszpańskiego i idącą za nim mądrością polityczną Hiszpanii. W samej ludności musiałby się odbyć proces wyjałowienia, duchowy przewrót, w którym zamarłyby wszystkie dzisiejsze żądze własnego bytu, własnych instytucyj, niezależnych od organizacyi państwowej kraju macierzystego — pragnienie i potrzeba samoistności i samorządu w najczystszem słów tych pojęciu. Takiego przewrotu mogłaby dokonać cała jedna warstwa społeczeństwa kubańskiego, stojąca na jego czele, idąca przodem jako arystokracya rodowa, dworska i przemysłowo-kupiecka, gdyby odtąd natura ją tylko wyposażała w rozum, talent, wytrwałość, odwagę, w duchową dzielność, w cywilizacyjną sprawność, w polityczny rozsądek i zdolność, i pozwoliła jej tymi przymiotami resztę społeczeństwa, niższą i nieudolną, inteligencyę, wydającą z siebie powstania, przygnębić. Przypuszczenie takie jest sprzeczne z naturą. Słońce świeci dla wszystkich i wszędzie wywołuje życie, a każdy grunt demokratyczny jest od swej antytezy żyzniejszym.

Domyślać się też takiej zmiany błogosławieństw w madryckim koszu darów po uśmierzeniu powstania czekających Kubańczyków, żeby od nich prysły odrazu marzenia o odzielności — nie będzie żaden człowiek ze zdrowym rozsądkiem. Ducha nie zgasi ani owa ręka klas wyższych, zapalająca oportunistyczne świeczki zbawienia, ani prąd wolności urzędowej, wiejący z Madrytu. Prawo rozwoju raczej przewidywać nakazuje wzmocnienie się dążności, występujących w peryodycznych powstaniach. Zatem oderwanie się od Hiszpanii pozostanie hasłem przyszłości. Oczywiście, Hiszpania przeleje pierwej potoki krwi, zanim pozwoli rzeczywistości na spełnienie się pod takiem hasłem. Z drugiej strony znowu Stany Zjednoczone nie wyrzekną się nigdy my-

śli przyjęcia w siebie „Perły Antyllów“: jest to również marzenie powszechne całego wielkiego społeczeństwa politycznego. Według logiki, która, chociaż nie rządzi czynami ludzkimi, rządzić przecież musi myślami, przyszłość rozpali nową walkę, a w niej Stany Zjednoczone wyraźnie już stojące po stronie Kubańczyków. Hiszpania będzie miała za sobą — prócz siebie samej, prócz swego stronnictwa na Kubie, jeszcze i dyplomacyę europejską, która, Kubę politycznie za terytoryum europejskie uważając, legitymizm swój do Ameryki przeniesie. Z dziejów wewnętrznych Kuby może się wywiązać starcie dwóch światów. Są to sprawy bardzo może jeszcze dalekie, ale zarody ich tkwią już w chwili obecnej i rzucają się w oczy.

Tydzień polityczny. Królestwo włoscy pożegnali swego gospodarza d. 11 b. m. i nazajutrz zrana cesarz Wilhelm z Homburga wyjechał na Węgry do Totis pod Komornem, na wielkie manewry wojskowe i wielkie polowanie w okolicy. Dotychczas nie było jeszcze toastów, któreby telegraf za godne rozgłoszenia uznał. W poniedziałek, a może już i w niedzielę, 19 b. m., zjedzie gość cesarza Franciszka do Pesztu, który przygotował mu wspaniałe przyjęcie. Węgrzy zawsze mile patrzyli na Niemców po za swemi granicami; przedlitawczycy niemieccy mają w nich przyjaciół, a *N. fr. Presse* nie bez zasady wykazuje, że jedni tylko Niemcy i Węgrzy w całej monarchii austryackiej są szczerymi, bezwarunkowymi zwolennikami trójprzymierza.

Pokój napotyka na ciągłe przeszkody ze strony Niemiec, mających prawdopodobnie jakieś ukryte cele. Naraszcie zgodzono się na kontrolę, która nie będzie tak poniżającą, jak pierwotnie projektowana. Sami Grecy chcą ją przyoblec w szatę prawodawstwa izbowego. Rząd stara się wyjednać prawo bezzwłocznego powrotu do Turcyi dla tych, którzy w niej siedzieli z chciwości, potrzeby lub wypadku. Kwota kosztów wojennych 4 i pół mil. f. ma być ostatecznie ustaloną na cztery. Na Krecie admirałowie chcieli już znieść blokadę, ale im rządy nie pozwoliły. Narodowcy kreteńscy gotowi są już poddać się Turcyi. W Stambule sądy sułtańskie skazały 345 młodoturków na wygnanie lub więzienie. Sułtan politykę urozmaica sobie operetką i piosenką. Ks. Chimay, cygankę z męża, zamówił już na szereg przedstawień w Ildiz-Kiosku.

Sejm przedlitawski zwołany na 23 b. m. Niemcy odgrażają się, że nie pozwolą na żadne skrępowanie swobód i obostrzenie regulaminu, chociażby do upadłego walczyć mieli; prawica znowu chce chociażby 50 godzin siedzieć bez przerwy, aby tylko porządek zaprowadzić. Obie strony przy etatowej liczbie 425 posłów Izby deputowanych są do siebie w stosunku 215 do 210; ubytki przez śmierć i chorobę mogą stosunek ten uszczuplić jeszcze bardziej na niekorzyść prawicy, a nawet zupełnie odwrócić. Wyjścia innego nie ma, jak i nie było — tylko przez karczmę, na jaką już raz zamieniono Izbę prawodawczą, i rozwiązanie, którego p. Badeni nie uniknie, jeśli chce na stanowisku wytrwać.

Na Kubę wysyła Hiszpania w październiku 20 tysięcy świeżego wojska. Od początku pewno już ze 200,000 stało w szeregach rządowych, z wliczeniem i tych już teraz wyprawianych. Pod Victorią powstańcy strzelali z dział dynamitowych, straszliwych, wynalazku amerykańskiego.

W Urugwaju władzę po zamordowanym jeszcze jeszcze w sierpniu Borda objął prezes senatu, Guestias. Powstańcy, tegorocznego autoramentu, otrzymali od rządu i Izb w Montevideo ustępstwa, które ich uspokoją. Przyjęli je z góry, bo je rządowi sami narzucili. Montevideo ocalało kosztem tych ustępstw.

W Stanach Zjednoczonych w Colerame pod Hazleton, w kopalniach, wybuchło bezrobocie. Miejscowy szeryf kazał strzelać milicyi do tłumu. Za ten gwałt uwięziono go i oddano pod sąd, a wraz z nim 102 jakichś radców deputowanych dostało się do więzienia. Dwadzieścia kilka trupów legło na placu. Robotnikami są głównie Polacy, Niemcy i Włosi.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Włości rentowe. — Stosunek liczebny osadników narodowości polskiej do innych. — Różne kategorye „sprzedawczyków.“ — Ich obrońcy. — Warunki ekonomiczne a poczucie obywatelskie. — Zasługi rzeczywiste i przypadkowe. — Włościanie. — Z kroniki działalności hakatystów.

Niejednokrotnie już pisaliśmy o działalności kolonizacyjnej Niemców w celach germanizacyi ludności polskiej. Obecnie mamy pod ręką dane (z *Dziennika Poznańskiego*), które zasługują na uwagę. Dotyczą one trzech instytucyj, pracujących około szerzenia niemczyzny w Wielkiem Księztwie Poznańskiem, Prusiech Zachodnich i Wschodnich — dwie państwowe i jedna prywatna. Bezpośredniem ich zadaniem jest, jak wiadomo, rozdrabnianie wielkiej własności ziemskiej i osiedlanie na niej kolonistów Niemców. O rezultatach działalności komisyi kolonizacyjnej czytelnicy już się dowiedzieli dawno na tem miejscu. Zakupiła ona około 100,000 hektarów ziemi, wydała z funduszu stomilionowego około $^3/_4$ i w stosunku do tych kosztów oraz zabiegów i wysiłków, zrobiła niewiele, bo w ciągu dziesięcioletniego istnienia zdołała osiedlić niespełna 2,000 kolonistów.

Druga instytucya pokrewna, komisya generalna, zrazu nie wypowiadała wyraźnej walki żywiołowi polskiemu i nawet w gruncie rzeczy dzisiaj nie ma ona dążności programowo wrogich. Ale oto wydano tajne rozporządzenie, które ograniczyło procent osadników polskich, korzystających z renty. Tym sposobem nasze instytucye parcelacyjne są pozbawione prawie zupełnie pomocy komisyj generalnych.

Pruskie ministeryum rolnictwa ogłosiło w *Reichsanzeigerze* rezultat dotychczasowej działalności owych komisyj. Istnieją one: w Bydgoszczy, Królewcu, Wrocławiu, Kassel, Düsseldorfie, Frankfurcie nad Odrą, Hanowerze, Merseburgu i Monasterze. Działalność ich objęła następujące prowincye: W. Ks. Poznańskie, Prusy Zachodnie i Wschodnie, Pomorze, Brandenburgię, Szląsk, Saksonię, Szlezwig i Holsztyn, Hanower, Hesyę i Nassauzę, Westfalię, Nadrenię i księztwo Hohenzollern. Najliczniejsze siedziby rentowe zakładają komisye generalne w W. Ks. Poznańskiem i Prusiech Zachodnich. Liczba dóbr, które od r. 1891 do końca 1896 zamieniono w Prusiech na siedziby rentowe, wynosi 700, obszaru 168,799 h., w tem 67,293 h. gruntów rozparcelowanych.

Wykaz urzędowy nie podaje dokładnie, ile z tego obszaru przypada na obie dzielnice polskie. W przybliżeniu jednak można to obliczyć z narodowości osadników rentowych. W r. 1896 utworzono 867 nowych siedzib oraz zakupiono 300 od sąsiadów, z tych wszystkich (1,167) jest: 589 w rękach ewangelików, 577 w rękach katolików, nadto jedną osadę kupił menonita. Pod względem narodowości osiedlono w r. 1896 razem: 750 Niemców, 345 Polaków, 53 Mazurów, 17 Czechów, 1 Szwajcara i 1 Amerykanina.

---

19)

W. DOROSZEWICZ

Na Sachalin.

XXXVII.

„Słowo aresztanckie.“

Któż nie słyszał o „słowie aresztanckiem,“ którego skazańcy ponoć tak dotrzymują, jak my nie potrafimy dotrzymać swego słowa „honoru“?

Komu nie zdarzyło się słyszeć opowiadań o katorżnikach, których wypuszczano z więzienia pod „słowem aresztanckiem“ i którzy zawsze wracali akuratnie co do godziny i minuty?

Cóż to jest?

Czy istotnie człowiek, pozbawiony wszystkiego, tak ceni zaufanie, które mu okazują, tak niem się przejmuje, że za nic w świecie nie odważy się go nadużyć?

A może to jedna z legend, stworzonych przez umysły romantycznie nastrojone, legend o katordze, których masa krąży po świecie?

Siedziałem przy „starym sybiraku,“ który przeszło 20 lat przebył na Syberyi, był naczelnikiem katorgi nerczyńskiej. Umyślnie skierowałem rozmowę na temat „słowa aresztanckiego.“

— Słowo „warnackie“ — chcesz pan powiedzieć. Czy ono istnieje? O, panie, to wielka sztuka, słowo „warnackie.“ Opowiem panu, jaki się ze mną zdarzył wypadek. Byłem naczelnikiem w Nerczyńsku. Ludzi dużo, i to wszystko nie w ciemię bici, doświadczeni, wytrwali. Słowem — mistrze katorgi. Cha, cha! A konwój nasz jaki! Mając czterech tylko dozorców, muszę dać radę 200—300 skazańcom. Sam się dziwię, jak istnieć mogłem. Jakby pogromcy zwierząt w klatkach. I oto naraz w takich warunkach przysłano mi jeszcze partyę, złożoną z 800 ludzi. „Proszę pokwitować i zabrać.“ Co ja z nimi pocznę? Po prostu głowa pęka! Najpierw wszystkich rozkułem. Zebrałem gromadę. „Słuchajcie, dyabli — mówię — czy mogę was trzymać pod słowem warnackiem? — Dajemy! — wołają. — A więc pamiętajcie! Ani kajdan, ani konwoju, swoboda zupełna! Ale niech-no coś się zdarzy — wszyscy będą odpowiedzialni. Wszyscy za jednego i jeden za wszystkich. Zrozumieliście? — Proszę nam zaufać!“

Dobrze! Głową całej tej partyi, brylantem naturalnym, cha, cha, trzeba panu wiedzieć, był Paklin. A kto to był Paklin, proszę każdego sybiraka spytać, opowie panu. Była to znakomitość na Syberyi. Znakomitość — niczem Patti! — I tutaj pułkownik sam się zaśmiał z tego porównania.

— Cóż, ona żyje?

— Kto, Patti? Żyje.

— Ach, stary dyable! Przyznam się, nie słyszałem jej nigdy. Nie była w naszych stronach. Inni przyjeżdżali, dawali koncerty, ale ona nie zaszczyciła nas. Ale od katorżników i innych słyszałem, że ładnie śpiewa. U nas przecież różni ludzie bywają, cha, cha! Otóż powiadają, że ona po prostu jak słowik. Paklin także swego rodzaju Patti — słowik leśny. Po prostu „słowik zbój.“ Dziewięćdziesiąt sześć morderstw popełnił, raczej tyle mu dowiedziono. A przecież tajga wielka! Przytem względem Paklina tajny rozkaz: „Pilnować, jak oka w głowie.“ Ale oto upłynęło kilka dni i Paklin uciekł. Poszukiwania, gonitwy — nic nie wiadomo. Trzeba coś radzić!

— Kazałem zebrać całą gromadę. Przyjeżdżam. Gniew mię ogarnął, zdaje się wszystkich bym pozabijał. Nagle taka przykrość! „Ach, wy, mówię, tacy owacy, a słowo gdzie? Słowo honoru? „Warnackie“ słowo, łajdaki!“ I naturalnie łajałem przytem co się zmieści. Sam nie mogłem wyjść z podziwu, skąd się brały takie wyrazy. Słownik! Koncert! Potem ze dwa miesiące łajać nie mogłem; wyrazów za-

Ogólny rezultat działalności komisyj generalnych od r. 1881—1896 jest taki: Nowych siedzib utworzono 4,553, a nadto zakupiono od sąsiadów 1,836 siedzib; z tych jest w rękach ewangelików 3,417. katolików 2,759, żydów 6 i menonitów 6. Podług narodowości liczba osadników rozdziela się w ten sposób: Niemców 3,983, Polaków 1,975 Litwinów 66, Mazurów 142, Czechów 17, Austryaków 2, Szwajcarów 2 i Amerykanin 1.

Z pomocą komisyi generalnej pospieszył „Landbank," utworzony r. 1894, narzędzie działalności hakatystów. Kupił on do końca 1896 r. 15 dóbr, obejmujących 67,950 morg., z których 24,000 rozparcelował. Bank utrzymuje, iż zarobił w jednym roku 356,506 marek, akcyonaryuszom zaś dał 7% dywidendy. Podobno na owych rozparcelowanych dobrach nie widać jakoś kolonistów, pomimo uderzających w oczy reklam z rysunkami, rozrzucanych wszędzie obficie. Między innymi środkami przynęty instytucya ta ogłasza, iż w Karbowie znaleziono znaczne pokłady jakiejś szczególnej gliny o własnościach cudownych i że powstaje tam wielka fabryka kafli i porcelany.

Od chwili gdy organizacye kolonizacyjne niemieckie rozpoczęły swoją działalność datuje się piętnowanie publiczne szlachty polskiej, sprzedawczyków, których tak wybornie scharakteryzował p. Rabski w swojej sztuce p. t. „Przebłagany." Odstępców tych możnaby podzielić na kilka kategoryj. Jedni, żyjący nad stan i bawiący się w politykę pod pozorem dobra ogólnego, a w gruncie rzeczy ubiegający się o stanowisko odpowiednie dla siebie. Inni — wyzuci z wszelkiego poczucia obowiązków społecznych i narodowych, sprzedają swe majątki, zupełnie obojętni na opinię publiczną, po prostu dlatego, że im komisya dobre ceny daje. Wreszcie jeszcze inni—zrozpaczeni, którzy nie mają już żadnego sposobu wyjścia i muszą zginąć. Ci ostatni może tylko zasługują na jakie takie pobłażanie. A jednak są u nas publicyści, którzy całą szlachtę poznańską biorą w obronę. Nie widzą oni w tej warstwie społecznej ani niedołęstwa, ani życia nad stan, ani lekkomyślności, ani wreszcie zaniku poczucia obywatelskiego. Przeciwnie — tym, którzy się ośmielają czynić takie zarzuty, wytykają przesadę, a nawet złą wolę.

Niewątpliwie, wychodząc ze stanowiska ogólnych zjawisk ekonomicznych, można do pewnego stopnia znaleźć okoliczności łagodzące, ale tylko co do lekkomyślności i życia nad stan. W ostatnich latach własność ziemska w W. Ks. Poznańskiem coraz mocniej jest zagrożona; ale to dotyczy zarówno właścicieli Polaków, jak i Niemców; nawet ci ostatni bywają nieraz w krytyczniejszych warunkach. Na to wszystko wpływają przesilenia i wstrząśnienia ekonomiczne na całej kuli ziemskiej. Ale podczas gdy śród rolników Niemców przesilenie ekonomiczne jest tylko ruiną materyalną pewnej grupy ludzi, którzy wyparci z roli, pierwej czy później znajdą sobie inne środki istnienia i pod względem społecznym nie poniosą klęsk moralnych — Polacy ziemianie, dotknięci niepowodzeniem ekonomicznem, tracą pod nogami nietylko rolę, lecz i grunt polityczny, niosą z sobą klęski narodowościowe. Zrozumiał to ongi wybornie Bismarck i okres klęsk ekonomicznych śród ziemiaństwa uznał za bardzo odpowiedni do akcyi przeciwko narodowości polskiej.

Otóż tutaj nie można szlachty polskiej, sprzedającej swe majątki komisyi kolonizacyjnej, usprawiedliwiać ogólnemi zjawiskami ekonomicznemi. Po za tą sferą zjawisk trzeba zawsze pamiętać o wyjątkowem położeniu politycznem, o konieczności obrony kosztem największych ofiar i wysiłków, kosztem nieraz zaparcia się swoich potrzeb osobistych. Sprzedaż majątków bywa nieunikniona, ale zawsze, nawet zdecydowawszy się na nią, można uniknąć komisyi kolonizacyjnej. O tem, niestety, znaczny procent szlachty poznańskiej nie pamięta i nie chce pamiętać. Obrońcy jej utrzymują, iż ogromna większość spełnia swe obowiązki bardzo sumiennie i broni się świadomie przeciwko naciskowi germanizmu. Oby tak było istotnie!

Tem tylko można się trochę pocieszyć, że w ostatnich czasach dobra nie przechodzą już masowo w ręce niemieckie, jak to dawniej bywało. Ale i tutaj zjawisko to nie jest, niestety, zasługą szlachty w całej rozciągłości, lecz przyczyną niepowodzenia komisyi kolonizacyjnej, której rachuby i plany napotkały więcej przeszkód etnograficznych i kulturalnych, niż odporności obywatelskiej żywiołu polskiego. Zresztą ci najbardziej zagrożeni i najbardziej wyzuci z poczucia obywatelskiego, którzy mieli sprzedać ziemię, już ją sprzedali. Tym sposobem w stosunku do ogółu ziemiaństwa zwiększył się procent odporniejszych; ale tu znowu odporność ta w znacznej mierze nie wynika z uświadomienia potrzeby zwalczania germanizacyi, lecz stąd, że ludzie ci, stojąc na mocniejszym gruncie materyalnym, nie czują konieczności sprzedawania ziemi.

Zapewne, jest gromadka takich, którzy cierpiąc niedostatek, z zaparciem się swych potrzeb stawią odważnie i wytrwale czoło nawale germańskiej. Obrońcy jednak szlachty poznańskiej, którzy zarzucają stronność krytykom jej czynów, sami są stronni, bo ową niewielką grupę prawdziwych obywateli kraju, szczerze kochających swą narodowość, usiłują pomnożyć, wciągając do swych szeregów także i niegodnych synów ziemi rodzimej. Ci właśnie obrońcy podnoszą pod niebiosa „zasługi obywatelskie" takich panów, jak Stefan hr. Kwilecki z Dobrojewa, który nabył od Niemca dobra, wynoszące 4,000 morgów. Jak to czasem dziwnem zrządzeniem, a raczej ironią losu, chodząc dobrze koło własnych interesów, mając zmysł praktyczny i pieniądze, można stać się zasłużonym obywatelem kraju, dokonać czynów doniosłości społecznej!

Stosunkowo najlepiej dziś stoi w W. Ks. Poznańskiem drobna własność ziemska, włościańska. Niektórzy, zawistni, chcąc wywyższyć szlachtę pod względem czynów obywatelskich, wręcz odmawiają ludowi świadomości w walce z germanizmem i całą tę jego odporność materyalną składają na karb warunków ekonomicznych. Niewątpliwie lud ma tę wyższość nad szlachtą, pod względem trwałego bytu, że nie jest tak jak ona zadłużony, że mając mniejsze potrzeby i posługując się własnemi siłami roboczemi, łatwiej może istnieć, nawet pomimo ogólnych przesileń ekonomicznych. Ale nie należy o tem zapominać, że lud poznański umie być solidarnym w życiu społecznem, że chętnie się garnie do kółek rolniczych, a nawet, powiedzmy ze wstydem, nieraz chętniej niż szlachcic bierze książkę lub gazetę do ręki! Chłop jednak nie przoduje i nie może dziś przodować w walce z germanizacyą, o ile chodzi o wywłaszczenie i dlatego szlachta, jako posiadająca przeważną część ziemi, powinna usilnie walczyć z zagładą, bo słusznie ktoś powiedział, że je-

---

brakło, wszystkie zużyłem. Cha, cha! Wybrałem z gromady najpokaźniejszego. Widzę, poważny mężczyzna, broda po pas. Chodź-no tutaj. Ogolić pół głowy! Prawo w tej materyi mówi niewyraźnie. Powiedziano: „pół głowy," a golą zwykle pół czaszki. Ale tutaj, sam pan zrozumie taki wypadek nadzwyczajny. Powiedziano „pół głowy," więc i kazałem ogolić pół głowy; tj. pół czaszki, brew, jeden wąs i pół brody z jednej strony. Sam się przeraziłem, gdym zobaczył, co z tego wyszło. Istotnie, coś takiego, że patrzeć strasznie. Nie ma podobieństwa do człowieka. Kazałem mu się odwrócić twarzą do gromady: „Patrzcie. Jeżeli w ciągu trzech dni Paklina nie będzie, wszystkich tak ogolę!"

— No, i cóż?

Sybirak zamilkł i po chwili zakończył jakimś tonem uroczystym.

— Po trzech dniach donoszą mi: „Aresztanci przyszli; chcą się widzieć." Wychodzę. Patrzę, stoi coś śród nich, coś potwornego, nieludzkiego. „Kto to?" — pytam. — „Paklin!" Twarzy rozpoznać nie można. A przecież dobrze go znałem. „Czy rzeczywiście — pytam — jesteś Paklin? Może innego przyprowadzono?" — „Nie!— rzeknie mi na to — ja jestem ten sam." Głos i postać istotnie jego. Potem, gdy się wyleżał, a twarz przyszła do stanu normalnego, można było poznać, że to on jest istotnie. „Za cóż wy go tak?" — pytam. — „A to — odpowiadają — za niewinnego, którego ogolono. Gromada zmusiła go, żeby dotrzymywał słowa warnackiego i innych nie narażał!" Oto, co jest słowo warnackie!

— No, i cóż Paklin?

— Bito go, a potem, gdy po chłoście wyzdrowiał, wysłano na Sachalin. Ale nie doszedł. Uciekł w chwili, gdy aresztantów wyprowadzano ze statku na brzeg.

W głosie starego sybiraka ozwała się nuta jakby zadowolenia z zuchwalstwa Paklina: „Oto przynajmniej wstydu sobie nie zrobił!"

— Cały Sachalin pod grozą trzymał. Aż nareszcie w tajdze tubylec go zastrzelił. Płacą przecież za to pięć rubli, jeżeli zbiega żywego przyprowadzi. Trzy — jeżeli martwego przyniesie. I oto polują w tajdze na „tygrysa dwunożnego." Ale pięciorublówki za prawdziwego „tygrysa" nikt nie otrzyma, bo do takiego myśliwy nawet zbliżyć się boi. Żywy się poddaje tylko jakiś lichy warnaczyna. Warnak, rzeczywisty „tygrys" nigdy się nie podda. Przywiózł tedy myśliwy Paklina martwego i trzy ruble otrzymał.

Oto, jaki był okaz!

* * *

Takie jest słowo „warnackie."

Wszelkie opowiadania o jakiemś nadzwyczajnem rycerskiem traktowaniu tego słowa, jest bajką wierutną.

Dla katorżnika byłoby to zanadto sentymentalne.

Słowo „warnackie" — to słowo arteli.

Jest ono dotrzymywane z obawy, ażeby za winnego nie ucierpieli inni niesprawiedliwie.

— „Niesprawiedliwie."

To najstraszniejsze słowo na katordze.

Ludzie ci dźwigają tak dużo cierpienia zasłużonego, że nie mają sił, ażeby znieść najmniejsze niezasłużone.

Kara „sprawiedliwa," najcięższa, chłosta, chociażby śmierć nawet, wymierzona rzeczywiście winnemu, nie oburza nikogo.

Ale każda niesprawiedliwość, choćby najmniejsza, zagraża życiu tego, kto ją popełnił.

Zmniejszenie porcyi chleba o pół funta, zamknięcie do kozy choćby na pół godziny człowieka niewinnego, wrogo usposabia do wykonawcy tej kary całą turmę.

Ludzie, którzy sami naruszyli prawo i ciężką ściągnęli na siebie karę, żądają, ażeby nie naruszali prawa ci, którzy ich karzą.

Opowiadali mi naoczni świadkowie kaźni trzech zbiegłych we Władywostoku: Hońka, Drozdowskiego i Orłowa, którzy zabili i zrabowali marynarza francuskiego.

Do wykonania wyroku wybrano trzech katów, którzy na to się zgodzili za szklankę wódki, zwykłą normę zapłaty w takich razach.

den dwór szlachecki (jako placówka) więcej znaczy, niż sto zagród chłopskich.

Na zakończenie kroniki niniejszej musimy podać kilka drobnych, lecz dla żywiołu polskiego bardzo ważnych faktów z najświeższej działalności hakatystów: Polakom — urzędnikom i robotnikom kolejowym—jak donosi *Schlesische Zeitung* — ponownie przypomniano zakaz mówienia z sobą po polsku podczas pełnienia obowiązków, pod grozą pozbawienia zarobku. A oto drugi fakt: Magistrat i rada m. Wrocławia wyznaczyli dla powodzian 100,000 marek, ale z zastrzeżeniem, żeby sumę tę użyć tylko dla obwodów regencyi wrocławskiej i lignickiej. Obwód regencyi opolskiej wykluczono zupełnie, gdyż tam mieszkają Polacy. Wreszcie trzeci fakt ucisku: W Potulicach pod Nakłem (Poznańskie) ks. kapelanowi Budziakowi zakazano udzielania dzieciom religii, pod tym pozorem, że ksiądz nie pełni publicznego urzędu duchownego. W razie złamania zakazu grozi mu kara 150 marek lub areszt dwutygodniowy.

Jeden z organów hakatystów w Berlinie, *Deutsche Warte*, okropnie się oburzył na wieść o projekcie utworzenia centralnego związku przemysłowców polskich. Proponuje tedy „zuchwalstwu" temu położyć koniec w sposób następujący: „Trzeba Polaków zapytać, czy chcą zostać Niemcami, czy też nie? W razie ostatnim niech sobie wywędrują. Bądź co bądź należy ich uprzedzić, że każde wystąpienie, jako Polaków, będzie bezwarunkowo stłumione."

et.

LISTY Z PARYŻA.

Z świata głodu i biedy: zwiększenie ceny chleba. — Handel dziećmi z Włoch.

Od dwóch tygodni dwie pieśni brzmią w prasie francuskiej: jedna głośna, pocieszna nawet, z powodu niedawnych zdarzeń, druga cicha i niewesoła, a przytem uparta: o podrożeniu chleba. Ostatnie zajście, już od dość dawna zapowiadane, zaniepokoiło szerokie koła.

Przyczyną ogólną jest zmniejszenie urodzaju zarówno we Francyi, jak i za granicą. W niektórych okolicach francuskich zebrano połowę, niekiedy dwie trzecie tego, co miano roku zeszłego. Nawet w najmniej doświadczonych powiatach Francyi północnej niedobór jest duży. Skutki tego nieurodzaju odbiłyby się może mniej dotkliwie, gdyby nie istniały znaczne cła zbożowe, zaprowadzone 28 marca 1887 r., potem zwiększone w lutym 1894. Dowoz zbóż obcych wyrównałby braki; opłaty utrudniają go, a nadto i w Ameryce i w Indyach i w Rosyi zbiory były mniejsze, niż roku zeszłego.

Dzięki temu cena kwintału, wynosząca w 1896 r. 18 fr. 50 cent., dziś wzbiła się do 29 i 30 fr.

Równolegle podniosła się cena chleba. Dotąd kosztował funt 20 centymów, dwa kilogramy 70 c., w dzielnicach uboższych 60, 55, nawet 50 c. Obecnie płaci się za funt 25 c., za dwa kilogramy 85, a najtaniej 80 c.

Postawmy się w położeniu rodziny ubogiej, której głównem pożywieniem jest chleb. Zamiast 60 musi płacić 80 c., czyli o jedną czwartą więcej. Niech oprócz tego wypadnie bezrobocie, choroba głównych pracowników albo brak pracy!

Drożyzna ogarnęła, rozumie się, nietylko Paryż, ale i prowincyę. W Marsylii urządzono wiece, protestujący przeciw cłom zbożowym, w Longjumeau, Auxerre, Rouen zwołano zebrania bądź rad miejskich, bądź ogółu. W Troyes magistrat również uchwalił żądać zmniejszenia opłat od przywożonego zboża.

Żądanie to jest prawie powszechnem. Gdy w r. 1891 ceny piekarskie poczynały podnosić się, Viger zaproponował zniżenie z 5 fr. na 3 opłat celnych: czy obecnie jednak to samo nastąpi — wątpimy.

Mówi powne przysłowie, że przy tym samym ogniu, przy którym męczą się potępieńcy, dyabeł sobie pieczeń smaży. Tak i nieurodzaj, który biedakom grozi głodem, większym właścicielom niesie nieco talarów. Mało zboża, więc można podbić jego ceny. Spółki rolnicze departamentu Dolnej Sekwany, zebrawszy się w Rouen, „uchwaliły po bardzo oklaskiwanej dyskusyi żądać niezmienności ceł zbożowych." Uchwała bardzo pożądana dla ministeryum, którego obecny naczelnik (Méline), znany protektor „biednych agraryuszów," nie ma żadnej chęci działać w duchu głodzonych. To też zdaje się, że przytoczone żądania, poparte ostatnio przez delegacyę radnych paryskich do ministra rolnictwa, nie odniosą większego skutku.

Zresztą sobkostwo mieszczucha, który ześrodkowywa wszystko około możliwie najspokojniejszego tuczenia swej kabzy i brzucha, ujawnia się nawet w bardziej oburzających objawach. Gdyby podanie ich do wiadomości publicznej nie pochodziło od osób ze wszechmiar godnych zaufania, nie chciałoby się wierzyć.

Sekretarz ambasady włoskiej w Paryżu, R. Paulucci di Calboli, zajmujący się oddawna pauperyzmem, ogłosił w *Revue des Revues* z 1 września rozprawę pod tytułem „Sprzedaż małych Włochów do Francyi." Dowiadujemy się z niej o istnieniu w formie — niech będzie — „złagodzonej," handlu ludźmi, do którego przykładają łącznie ręce przedstawiciele trzeciego stanu Włoch i Francyi.

W dwu południowych prowincyach Włoch, Caserta i la Basilicata, raczej nawet w piętnastu do dwudziestu wsiach tych ziem, zjawiają się rokrocznie panowie przedsiębiorcy. W okolicach, dokąd wybrali się, bieda wielka. Więc tem chętniej przyjmują ich ojcowie, ku którym się zwracają.

Rzecz ma się tak. Tyle gęb wyżywić ciężko nawet na południu, gdzie potrzeby mniejsze. Ale kto chce, może sobie w tem ulżyć. We Francyi o zarobek łatwo, płacą dobrze. Niech każdy odda jednego lub dwóch synów, przedsiębiorcy umieszczą ich gdzieś w tym kraju, naturalnie odbierając sobie powną sumę za pośrednictwo. Lecz to rodziców nie dotyczy. Owszem, przedsiębiorcy gotowi są od każdego dziecka zapłacić im jakie sto lirów (franków). Koszta przewozu także nie spadają na ojców. Czy źle? Sto franków w kieszeni i jedna gęba mniej. Za trzy lata (takim jest zwykły przeciąg najmu) dzieci, jeśli sobie spodobają we Francyi, zostaną, jeśli nie — wrócą.

Najczęściej zgoda. Matki chcą dać dzieciom trochę bielizny, nieco ubrania. Na co tam przedsiębiorcom balast. „In Francia non costuma" — we Francyi inaczej ubierają się. Jeszcze śmiać się z nich będą: co będzie potrzebne, to się im sprawi. Szybko spędza się trzódkę, wezwany ksiądz proboszcz daje błogosławieństwo na drogę, każdy ojciec stawia w kościele przed aniołem stróżem świecę, i szczęśliwej drogi!

Przed trzydziestu laty podobne konwo-

Wtedy jeden ze skazanych, gdy kolej na niego przyszła, zawołał:

— A mnie za co? Ja przecież nie zabijałem!

Wtedy nawet i ci trzej gentlemani, którzy się zgodzili wieszać za szklankę wódki, zadrżeli i wykonali swoją czynność odwróciwszy głowy i starając się nie patrzeć na skazańca.

Ta właśnie nienawiść, wstręt, strach katorgi wobec „niesprawiedliwości" wpływają na dotrzymanie słowa „warnackiego."

Bezterminowi, „dwudziestoletni" — ta arystokracya katorgi, przechowująca i przekazująca jej tradycye i porządki — surowo przestrzega dotrzymywania słowa „warnackiego"; baczy na to, ażeby jaki krótkoterminowiec, „czaldon," nie nadużył słowa, danego przez artel:

— Tobie, ty taki, owaki, nic! Pobędziesz lat cztery w ciężkich robotach i jazda na osiedlenie; a my całe życie cierpieć musimy, jeżeli naszemu warnackiemu słowu wierzyć nie będą; żadnej folgi nie dadzą.

Takim sposobem jest dotrzymywane i nienaruszane słowo „warnackie," za którego złamanie winny bywa karany śmiercią, jeżeli za niego bardzo ucierpieli niewinni.

Bliżej przyjrzawszy się, śmiało można rzec, że katorga w połowie jest utrzymywana słowem honoru. Ono zastępuje i rygle, i konwój.

XXXVIII.

Mąż.

Rzadki typ.

Polecam go waszej uwadze, szanowne panie.

Jest to istotnie mąż, jakich mało.

Od czasu jak istnieje katorga sachalińska, w całej Rosyi takich mężów było nie więcej, niż dziesięciu.

Mąż, który dobrowolnie idzie na katorgę za swoją żoną.

Tu, na parowcu, korzysta on z zupełnej swobody. Ale nie łatwo go znaleźć.

Przez całą drogę siedzi sobie w kąciku konwojowym, w każdej chwili gotów do wszelkich usług; drży przy najmniejszym okrzyku.

Nawet wtedy, gdy cały konwój wysypuje się na pokład, ażeby popatrzeć na wyspę, palmami porosłą, Choroszko nie opuszcza swego miejsca.

— Boję się!

— Zawołać Choroszkę!

Ukazuje się twarz wylękniona „idącego dobrowolnie."

Choroszko liczy lat 26, służył w wojsku. Wzrostu średniego, ładny, z sumiastymi, dużymi wąsami, zawsze starannie ogolony, czysty, porządny, o słodkich, dobrych oczach, w których wiecznie maluje się przestrach.

Na pokład idzie bokiem, jakby chcąc uniknąć wzroku ludzkiego. Rozmawiając, stara się stać z boku.

Zawsze odosobniony, z myślą tylko o żonie swojej.

Przypomina psa, który skutkiem częstego bicia ciągle drży. Nawet chodzi tak, jakby oczekiwał w każdej chwili uderzenia.

— Cóż, Choroszko, wyszedłbyś oto, odetchnął świeżem powietrzem, zamiast tam się dusić w kącie. Przecież jesteś wolny.

Choroszko mruga oczyma człowieka winnego.

— Cóż, kiedy się boję.

— Czegóż się boisz, głupi? Morza, czy co?..

— Nie.

— Władzy? Przecież i ona oznajmiła ci, żeś wolny i możesz chodzić.

— Tak; ale się boję.

— Czyś od urodzenia był taki nieśmiały?

— Nie; dawniej byłem śmiały, w wojsku służyłem. Potem onieśmieliłem się.

Tak, można onieśmielić się po czteromiesięcznem tułactwie w więzieniach i na etapach, pod konwojem, po obcowaniu, według praw aresztanckich, ze zbójami, zbiegami katorgi, ojcobójcami, rabusiami mogił!

— Cóż, z własnej woli idziesz do żony?

je ruszały pieszo i szły aż do Francyi; teraz prawie zawsze wsadza się dziatwę na statek i wyprawia do Marsylii. Są tam malcy dziesięcioletni — ci, ponieważ we Francyi dopiero po trzynastym roku można wejść do fabryki, mają metryki starszych braci—podrostki liczący więcej, najwyższą ilość lat: osiemnaście

Już na statku zaczynają się dobre czasy. Trzódkę karmi się chlebem, pomarańczami i wodą. Po wylądowaniu—dawniej, kiedy rząd francuski opierał się nieco temu handlowi, trochę trudniejszem, obecnie nie spotykającem żadnych przeszkód—rozbija się ją na partye. Cząstkę wynajmują kominiarze, modeliści i odlewacze figurek, przeważna większość idzie do szklarni. Tymi, najnieszczęśliwszymi ze wszystkich, zajmuje się wyłącznie Paulucci di Calboli.

Głównem siedliskiem fabryk szkła jest Lyon i Rive de Gier (Francya połudn.). Do tych dwóch okręgów idzie najwięcej nowoprzybyłych. Mały oddział wysyła się do Fontainebleau i w okolice Paryża. Do stolicy samej nie jadą przedsiębiorcy z swym połowem, ambasada włoska toczy z nimi tu walkę dość zaciekłą.

Ponieważ dzięki zaznaczonej ostrożności wszystkie dzieci liczą więcej. niż 13 lat, więc kierownicy i właściciele fabryk, ku którym zwracają się zacni ich i dawni znajomi włoscy, z otwartemi rękami przyjmują młodzież. Czemuż mieliby grzeszyć brakiem gościnności! Przywiezione dzieci będą pracować za 35—45 franków miesięcznie (dziesięć godzin na dzień), gdy tymczasem Francuzi w tym wieku żądaliby dwa razy tyle. Jeśli do kilku lat wyrostki te nie pomierają, doszedłszy osiemnastki, będą pobierać tylko sto franków, gdy tyleż liczącym Francuzom musi się płacić przeciętnie 140

Ale z nędznych tych opłat nic nie dostaje się włoskim dzieciom Niekiedy fabrykanci z litości dają im po kilka su tygodniowo, i to — jak np. w La Chapelle-Saint-Denis — przedsiębiorcy odbierają.

Kupili dziatwę, należy im się jej zarobek. Dają im pokarm i mieszkanie, ale jakie? „Przedsiębiorcy, skoro są wspaniałomyślni, wydają na osobę 25—40 centymów; są jednak inni — a znamy ich — co z dwóch franków wyżywią 13 dzieci.“ Mieszkanie zaś?

„Widzieliśmy dom na równinie Saint-Denis, przyległy do szklarni Legras, gdzie mieszka jeden z tych wyzyskiwaczy dziatwy. Lud zwie go „dziadowską chatą“ i zasługuje ona istotnie na swą nazwę. Brudne łachmany, rozwieszone wkoło, mówiły wyraźnie, kto tu mieszka.

Nie chcemy opisywać w szczegółach tego zaułku cuchnącego, błotnistego, bez bruku. Przypominał nam dziwnie włoską dzielnicę Holborn w Londynie. Ten sam ton, a dla zwiększenia podobieństwa dwóch smutnych obrazów, pośrodku podwórza tenże ohydny potok nieczystości!

Izby sypialne są nizkie, ciemne, wilgotne: wszechwładne rządy brudu i wyziewów. Łóżka — często prosto skrzynie — nieliczne. Dzieci istotnie sypiają po troje i po czworo na jednem łóżku. Sienniki licho, słabo wypchane i zawsze przejęte wilgocią. Niema prześcieradeł, od chłodu jest kilka kołder, ale głównie służą do nakrycia łachmany. Ubrań lub bielizny do zmiany — u nikogo nie widziałem.“

Smutna to doprawdy tragedya. Paulucci naliczył do dwóch tysięcy kupionej dziatwy. Nie masz dla niej strawy duchowej, i wszystkim miazmatom złego wstęp otwarty do biednych dusz. Zresztą śmierć zbiera wśród nich obfity plon. Po części dlatego najem trwa trzy lata, że dłużej znaczna ilość nie żyje. Jeszcze przed wprowadzeniem ich do zawodu szklarskiego włoskie Towarzystwo dobroczynności obliczało, że na sto wywiezionych dzieci 20 wraca, 30 rozprasza się zagranicą, *50* umiera. O ile wyższa musi być śmiertelność teraz! Praca w szklarniach, wydymanie szkieł w szczególności, pociąga za sobą po kilku latach rozdęcie płuc (emphysème), to zaś choroby serca, które zabijają w niedługim czasie. I to dorosłych, cóż dopiero młode, rozwijające się organizmy.

Fakty te znane są we Włoszech od bardzo dawna, we Francyi także już niektórzy zwracali na nie uwagę. Ale o zwalczaniu ich tu i tam, o łagodzeniu losu nawet małych niewolników ledwie kilka sporadycznych jednostek myślało. Biedni!

W. Bugiel.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Skuteczny środek.

Pewnych skarg i żalów, roztaczanych w prasie, powinniśmy poprostu się wstydzić. Dość już złego zsyła los, my jeszcze do jego nieszczęsnych darów dołączamy własne niedołęstwo, jakieś dziecinne płacze, niegodne dojrzałego narodu. *Gazeta Polska*, kreśląc ciężkie położenie w Poznańskiem, utyskuje nad tem, że przedstawiciele tamtejszego społeczeństwa, którzy mają możność i prawo upominania się o jego krzywdy, pozbawieni są wiarogodnego materyału dowodowego. „Jedynym niemal ich informatorem — pisze wspomniany dziennik — jest prasa, która ze swej strony czerpie wiadomości u korespondentów, nie zawsze podobno dokładnie świadomych istotnego stanu rzeczy. Rezultaty takich stosunków są, ogółem biorąc, opłakane. Posłowie występowali nieraz w Izbach z zarzutami przeciw organom rządowym w sprawach, w których zła wola urzędników i nieposzanowanie praw było niewątpliwe. Nie posiadali jednak w ręku dostatecznej ilości faktycznych dowodów na poparcie swoich zarzutów; rząd zaś rozporządzał całą masą raportów podwładnych sobie organów. Choć sprawa przeto była jasna, posłowie polscy ponosili porażkę, nie mogąc przeciwstawić doniesieniom policyjnym żadnych pewnych danych. Powtóre, całego szeregu bezprawnych czynów władz administracyjnych pruskich nie można było wprost poruszyć, wywlec przed forum parlamentarne, gdyż jakichkolwiek choćby pewnych dowodów, dokładnych informacyj nie można było zgromadzić. Fatalne następstwa tego stanu rzeczy okazały się wkrótce w całej pełni.“

Jakaż na to rada? Zapewne przypuszczacie, że pisma powinny postarać się o rzetelnych korespondentów, rozwinąć energiczne starania dla zdobycia w każ-

---

— Tak; do żony idę.

I gdy mówi o niej, w jego oczach szarych, ładnych, wyrazistych, łagodnych świeci cicha rzewność i tęsknota.

Jest to człowiek zakochany w swojej młodej żonie.

Dostatni włościanin jednej z gubernij środkowych, porzucił dom, krewnych, braci, siostry i poszedł za nią na Sachalin.

— Za cóż żonę tam zesłano?

Choroszko spuszcza oczy i po cichu odpowiada:

— Za dziewczynkę.

— Jak to za dziewczynkę?

— Za córkę moją.

— Za rodzoną?

— Nie. Ona była jej pasierbicą. Została po pierwszej żonie mojej, która umarła, gdym w wojsku służył. Córka została. Gdym wrócił ze służby, ożeniłem się z Katarzyną i oto co się stało...

— Czy dziewczynka duża była?

— Piąty roczek.

— Jakimże sposobem zdarzyło się takie nieszczęście?

Choroszko wzdycha i zaczyna opowiadać, widocznie oszczędzając swoją żonę:

— Znaleziono dziewczynkę pod krzakiem. Na szyi sznurek miała... I oto moją żonę skazano. Tylko że nie było dowiedzionem, iż to ona zrobiła.

— Skądże podejrzenie powstało? Czy źle się obchodziła z pasierbicą?

— Wiadomo, nie matka... A własnych dzieci nie było... Kaśkę to gniewało... Uderzyła czasem, to prawda... Dużo miała na sercu... A potem, jak ten grzech się zdarzył, na nią winę włożono.

— No, a tyś był od czego?

— Moja wina! Nie dopilnowałem!

Choroszko patrzy z taką skruchą, jak gdyby on tylko temu wszystkiemu był winien, jakby w każdej chwili oczekiwał wyroku śmierci.

— Czy dawno żonę zesłano?

— Jesienią.

— Czy ciągnęła ciebie?

— Tak, bardzo prosiła... Ostatni list otrzymałem od niej z morza Czerwonego... Taki list... Pisze, żebym koniecznie przyjechał, że... że żyć beze mnie nie może... kocha... Obiecała, iż strzedz siebie będzie.

I w oczach biednego Choroszki łzy się zakręciły, głos zadrżał.

Przypomniała mi się Duze, gdy w ostatnim akcie „Damy kameliowej“ czyta list Armanda Duvala.

Ten list, wszak to wszystko, co pozostało człowiekowi w życiu.

— Otrzymawszy list, poszedłem i zaaresztowałem się.

— No, a potem żadnych wieści od żony nie miałeś? Nie wiesz, gdzie ona i co się z nią dzieje?

— Nie.

Pomimo woli spojrzałem uważnie na Choroszkę. Tęsknota, smutek — to nie!

Jakieś przerażenie drgnęło w jego głosie. Trwoga, strach.

— Ja tak myślę, że ona w Korsakowskim posterunku. A może... Pan Bóg ją wie.

— I długo tak idziesz?

— Od samej jesieni. Po tym liście tak mię wzięło za serce, że poszedłem i zaaresztowałem się.

— Krewni odwodzili cię od tego?

— Nawet płakali, tłomaczyli. Ale ja sobie tak powiedziałem: Jeżeli już taki dopust, to niech będziemy razem. Na to ślub braliśmy. Razem żyć, razem cierpieć.

— Długo trzeba się było tułać?

— Zrazu w naszem mieście, w więzieniu, a potem do gubernii przenieśli. Następnie do „peresylnej“ w Moskwie. Centralka nazywa się. A stamtąd już tutaj, na parowiec.

— I tak ciągle z aresztantami?

— Z nimi. Oto już tutaj, dzięki Bogu i zwierzchności, osobno umieszczono... A tam byłem na równi z nimi...

(C. d. n.).

dym wypadku licznych i niewątpliwych dowodów, przestrzegać ściśle zasady (przyjętej już we wszystkich poważnych dziennikach świata), ażeby ogłaszane były tylko fakty wszechstronnie zbadane i sprawdzone? O, nie! Jest sposób daleko skuteczniejszy. „Trzeba stworzyć (nowy) organ, którego zadaniem byłoby baczne śledzenie życia politycznego w prowincyach polskich, zbieranie pewnych wiadomości o każdem bezprawiu władz administracyjnych. Organ taki byłby informatorem kół polskich w Berlinie...“ Zaiste, trudno nie pisać satyry! Więc co robią i co dalej robić będą te pisma poznańskie, których znaczna większość zajmuje się „bacznem śledzeniem życia politycznego w prowincyach polskich“? Kłamią i kłamać będą, łowią i łowić będą plotki i niesprawdzone nowiny? Cóż pomoże sprawienie nowego worka, jeśli weń wlewane będzie stare wino? Bo chyba ów świeży dziennik nie stworzy sobie różdżką czarodziejską obfitych i niezmąconych źródeł wiadomości potrzebnych do walki z Niemcami. Jeżeli zaś takie źródła istnieją, jeśli można znaleźć korespondentów sumiennych, czemuż ich nie wyszuka prasa obecna? Naiwność polska ma wiele odnóg, a między niemi i tę bardzo rozrosłą, według której nowy dziennik, a właściwie nowy tytuł arkusza papieru powołuje do życia nowych ludzi i przerabia dawnych. Dzięki temu złudzeniu mnożymy drukowaną bibułę, która przez kilka tygodni lub miesięcy wygląda świeżo, a potem tak upodabnia się do starej, że jej odróżnić nie można. Według naszego przekonania, Poznańczycy, jeśli chcą zdobywać materyał dowodowy pożądanej ilości i jakości, powinni przedewszystkiem zebrać na ten cel kapitał i nie żałować pieniędzy na poszukiwanie wszelkich dokumentów, które im usłużyć mogą do poparcia skarg w sejmie lub parlamencie. O ile zaś ten materyał ma być ogłaszany w prasie, wystarczy mu jakiś dotychczasowy organ, zasilany, dozorowany i kontrolowany przez koło obywatelskie, tą sprawą kierujące. Na nieszczęście Poznańczycy nauczyli się od swych wrogów niemieckich skąpstwa. Są bardzo gadatliwi, ale nie ofiarni i roztwierając usta, zamykają kieszenie.

Niespodzianka.

Czytelnik zapewnie przypomina sobie, po jakiej to krętej i dołami przerywanej drodze ciągnęła się sprawa budowy nowego szpitala Dzieciątka Jezus. Przez parę lat dzienniki przynajmniej raz na tydzień donosiły o nowym jej zwrocie. Zwłaszcza spółka kapitalistów francuskich, to przystępująca do kupna placów szpitalnych, to cofająca się, grała rolę ducha legendowego, którego wielu widziało, a nikt uchwycić nie mógł. Nareszcie magistrat nabył starą posesyę, dał wzamian miejsce inne, utworzono komisyę, opracowano plany, oddano przedsiębiorcom roboty, zaczęto zwozić cegłę, zburzono część dawnych gmachów, nagle spada niespodziewana wiadomość, że budowa musi być wstrzymana, gdyż na ostatniem posiedzeniu rzeczoznawcy wykazali, że ona nie odpowiada potrzebom i musi być dokonana według zmienionego planu. Mniejsza o dodatkowy koszt kilkudziesięciu tysięcy rubli, ale co sądzić o wartości prac przygotowawczych, jeśli dziś okazuje się, że one nie uwzględniły najkonieczniejszych wymagań? Któż w nich uczestniczył? Wszakże nietylko technicy, ale również lekarze, którzy powinni byli wiedzieć, jaki lokal jest potrzebny na ambulatoryum, jaki dla sióstr miłosierdzia itd. Przecież to są rzeczy zasadnicze, a nie drobiazgi, które występują dopiero w praktyce i które przeoczyć wolno. Budowa szpitala pochłonie miliony i ma nam dać instytucyę pierwszorzędnej ważności; czemuż jego plan nie był szczegółowo przedyskutowany w Towarzystwie lekarskiem, w zebraniu architektów, a wreszcie w prasie? Czemu go nie poddano wszechstronnej krytyce ludzi, którzy mogliby o nim wyrzec poważne zdanie? Wtedy z pewnością inspektor szpitali, dr. Troicki, nie wykryłby w nim tylu błędów i wad, których usunięcie wstrzymało całą budowę. Dziwny wstręt do jawności i publicznego roztrząsania.

Czego nas uczy „klinker“?

Był czas, kiedy pisma warszawskie nie cytowały się wzajemnie i okradały się z wiadomości cichaczem. Nie wynikało to właściwie ze zniezczulenia moralnego, ale ze szczególnego wstydu. Szanującemu się, a zwłaszcza „dobrze poinformowanemu“ dziennikowi nie wypadało powiedzieć, że tę lub inną nowinę zaczerpnął od swojego sąsiada, lecz dorobiwszy do niej własny sos, podawał ją czytelnikom z objaśnieniem: „piszą do nas,“ albo: „dowiadujemy się z pewnego źródła.“ Jeżeli zaś taka nowina okazała się fałszywą, wtedy pierwszy jej twórca ratował się, jak umiał, a następni umywali ręce w wymówce: „wiadomość, którą podaliśmy za innemi pismami“ itd. Trwał ten zwyczaj dość długo, nareszcie ustąpił miejsca innemu: dziś wszystkie dzienniki otworzyły sobie wzajemnie kredyt i cytują się zawzięcie, ale również bez sprawdzania pożyczonych doniesień. Nie sądźcie zaś, ażeby niufność dotyczyła tylko wypadków, z których owo sprawdzanie jest wyłączonem. Jeżeli np. jeden reporter oświadcza, że wzniósłszy się balonem, spotkał jaskółki na wysokości 6,000 metrów, inni muszą to zapisać na jego odpowiedzialność. Zdarza się wszakże, iż ktoś puści w świat kaczkę, którą bardzo łatwo oskubać: tymczasem wszyscy otwierają jej swoje stawy, po których pływa sobie długo. Taką właśnie rolę odegrał świeżo „klinker.“ *Gazeta Rzemieślnicza* doniosła, że pod Zamościem istnieje fabryka tego materyału (rodzaju cegły), nadającego się wybornie do brukowania ulic, które też w Zamościu są nim pokryte. Natychmiast nikomu, oprócz specyalistów, nieznany dotąd „klinker“ zaczął wędrować po wszystkich pismach i wzdychać w nich bardzo głośno, użalając się na niesprawiedliwość, która sprowadza z daleka rozmaite obce materyały liche, a gardzi krajowym, doskonałym. Przez cały tydzień brzmiała ta skarga. Wreszcie pojawiło się wyjaśnienie, że opłakany „klinker“ wyrabiany jest do tłuczenia na szaber w braku kamieni polnych do posypywania szos, że ulice Zamościa nie są wcale nim wybrukowane, lecz zwyczajną cegłą, która — jak przekonało doświadczenie w Warszawie — okazała się nietrwałą dla ulic z licznym przejazdem i transportami znacznych ciężarów, że, wogóle, cały lament był bezzasadny.

I czegoż nas nauczył ów „klinker“? Oto tego, że zamiast powtarzać za panią matką pacierz, który często jest wyssany z palca, „pisma dobrze poinformowane“ powinny każdą alarmującą wiadomość sprawdzać, skoro to uczynić mogą. Słowem, prasa nasza, która przeszła przez epokę wyciągania sobie cichaczem nowin, a obecnie jest w okresie cytat, powinna teraz wejść w stadyum stwierdzania faktów.

Słuszna apostrofa.

Niejaki p. Hosteyn na uczcie dla dziennikarzy francuskich w Petersburgu wygłosił mowę w imieniu prasy francuskiej, która go do tego nie upoważniała i za swego przedstawiciela nie uważa. Powstała z tego powodu burza, która odbiła się echem i w dziennikach warszawskich. Otóż *Wiek*, wspominając o tym wypadku, dodaje:

„Dla nas Polaków cały ten zatarg posiada tylko znaczenie kronikarskie, ale przypomina nam, że takich Hosteynów, przemawiających „w imieniu prasy francuskiej,“ nie brak i w naszem społeczeństwie. Gdyby właśnie te pisma, które najszerzej się rozwiodły nad sprawą uzurpacyi oratorskiej, zechciały zajrzeć w głąb własnego sumienia, to może znalazłoby się tam grzechów podobnych sporo. Znamy wypadki, w których nietylko bez upoważnienia kolegów, ale wbrew najwyraźniejszej ich woli, ten i ów organ występował publicznie w imieniu prasy warszawskiej. Samozwańcy nasi byli wprawdzie o tyle zręczniejsi od p. Hosteyna, że unikali dobitnych określeń charakteru występów swoich, ale w półsłówkach i w elastycznych, dwuznacznych ogólnikach, dawali do zrozumienia, że należy w nich upatrywać upoważnionych do działania przedstawicieli korporacyi zbiorowej, innemi słowy, że „w imieniu prasy warszawskiej“ mówią i czynią.

Nie zastanawiamy się nad tem, czy ten i ów występ luzaków prasowych był w zasadzie słuszny, czy błędny. Protestujemy tylko przeciw strojeniu się w dekoracye przedstawicielstwa zbiorowości tam, gdzie ku temu niema żadnego „placet.“ Nie chodzi nam o osoby, chodzi nam jedynie o zasadę. Walczymy z samozwańczością, gdziekolwiek ona się pojawi i bez względu na to, jakim ludziom, pismom i kierunkom oddaje przysługi.“

Te nadużycia, coraz częstsze, oddawna już domagały się nietylko nagany, ale napiętnowania. Byle pismak, który umysłowością swoją i charakterem zasługuje co najwyżej na tolerancyę, który w swej torebce podróżnej nosi zaledwie garść robaczywych ulęgałek publicystycznych, którego — gdyby nas chciał prosić o mandat — odprawilibyśmy z pogardliwym kwitkiem — taki jegomość często przemawia „w imieniu prasy!“ A jak szeroko przytem otwiera usta! Zdawałoby się, że to co najmniej dziennikarski Gladstone lub Disraeli. Ach, miotły, miotły na te śmiecie!

BADANIA NAUKOWE.

Mężczyzna i kobieta w okresie pierwotnym.

Dział, dotyczący rozwoju stosunków rodzinnych i małżeńskich, należy do najbardziej opracowywanych części socyologii etnograficznej. Pisano tyle o tym przedmiocie, iż, zdawałoby się, nie pozostawiono ani jednego zagadnienia, chociaż nie wszystkie rozwiązano. A przecież tak nie jest. Sprawę tę rozpatrywano bardzo powierzchownie lub jednostronnie, bo uwzględniono tylko to, jakie i ile kobiet mężczyzna uważał za swoje żony. Innemi słowy, nie wykroczono po za rozbiór składu stadeł małżeńskich — doryweczych lub istniejących stale przez dłuższy przeciąg czasu. Niekiedy wspominano jeszcze o władzy mężczyzny nad kobietą lub o tak zwanej gynajkokracyi— nic nadto. Odłogiem pozostawiono całą olbrzymią dziedzinę faktów, mojem zdaniem, pierwszorzędnej doniosłości—faktów, dotyczących pożycia i obcowania towarzyskiego pomiędzy płciami, oraz stosunku domowego małżonków. Są one tak ważnem uzupełnieniem zwyczajów rodzinnych, nadają im takie osobliwe piętno, iż opuszczając je lub uwzględniając niedostatecznie, fałszujemy całą tę stronę życia społecznego i przedstawiamy sobie, że sobótki plemienne i swoboda płciowa, właściwa ustrojowi pierwotnemu, odbywają się w otoczeniu codziennem, które niczem nie różni się od

naszego. Jakeśmy zaznaczyli, mniemanie takie jest błędne. Życie każdej płci w stanie pierwotnym jest tak nawzajem odgrodzone, skrępowane tylu pętami prawa zwyczajowego, tak wyodrębnione w każdym szczególe swoim, iż zamiast naszego wspólnego obcowania towarzyskiego otrzymujemy w gruncie rzeczy dwie odmienne sfery — męzką i żeńską, wkraczające nawet w zakres stosunków rodzinnych: małżonkowie nie znają pożycia domowego.

A. E. Crawley w pracy swojej *Sexual Taboo*, poświęconej zakazom pomiędzy płciami, dokonał próby zebrania faktów, obejmujących tę stronę rozwoju społecznego. Usiłuje on wyjaśnić rodowód tego rodzaju ograniczeń i przesądów, które w bycie pierwotnym niszczą wszelką towarzyskość pomiędzy kobietą a mężczyzną. Muszę zaznaczyć, iż tylko częściowo godzę się na jego tłomaczenie, uważając je niemal w całej rozciągłości za niewłaściwe. Badacz angielski wychodzi z założenia, że kobieta znajdowała się zawsze w stanie poddańczym, okoliczność zaś ta, że tu i owdzie obchodzono się z nią lepiej, bynajmniej nie zmienia postaci rzeczy. Patrząc na kobietę, jako na coś niższego, mężczyzna uważał ją jednocześnie za stworzenie pospolitsze, słabsze, tchórzliwsze i traktował ją i jej sfery działalności z odpowiednią pogardą. Spoglądał na nią, jako na robotnicę, poddankę, lecz nigdy jako na towarzyszkę. Punktem wyjścia było porównywanie przez mężczyznę swej siły fizycznej i energii z siłą kobiety. Przymiot ten, tak ważny w okresie pierwotnym, musiał wytworzyć pojęcie o kobiecie jako o istocie upośledzonej. Nie była ona zdolna ani zajmować się polowaniem, ani wdrapywać się na drzewa, nadto w pewnych odstępach czasu stawała się bezbronną zupełnie i musiała pozostawać na tem samem miejscu. Pod wpływem tych faktów mężczyzna nabierał coraz większego lekceważenia kobiety, aż wreszcie zaczął unikać jej towarzystwa, jako źródła zarazy. Człowiek pierwotny spogląda na objawy oddziaływania w przyrodzie innem okiem, niż my. Jeżeli ktoś posiada pewne właściwości charakteru i wogóle pewne przymioty, to może on, zdaniem dzikiego, udzielić je innym: spożywający mięso tygrysa nabierają odwagi i siły tego zwierzęcia, zająca — stają się tchórzami. To udzielanie, „zaraza" jak mówi Crawley, może odbywać się rozmaitemi drogami. Każda cząstka czyjegoś organizmu posiada zdolność przeniesienia przymiotów jego na dalsze osoby. Ślina, pot, włosy, paznokcie, krew, oddech — po za ciałem, do którego należą — mogą wywołać taki skutek. Nawet czyjeś ubranie, jako przesiąknięte potem, resztki jedzenia itd., mogą kogoś zarazić, wreszcie samo spojrzenie i obecność. Zapatrując się tak na działanie „sił przyrody" i traktując kobietę jako coś niższego, słabszego, bojaźliwszego, mężczyzna unikał obcowania towarzyskiego z nią, ażeby nie „zarazić" się od niej odpowiedniomi właściwościami. A. Crawley na poparcie tezy swojej przytacza parę faktów. U Zulów mężczyznom w pierwszych czasach po ślubie nie wolno uczestniczyć w wyprawach wojennych, gdyż istnieje tam przesąd, iż taki wojownik bezwarunkowo zostanie na placu bitwy lub spotka go inne nieszczęście. U niektórych plemion Ameryki południowej mniemają, iż nawet dotknięcie przez kobietę oręża męzkiego czyni go niezdatnym do dalszego użytku. U Omahów pogardzają chłopcem, bawiącym się z dziewczętami, ponieważ w takiem otoczeniu zaraża się on przymiotami niewieścimi. Kyungtowie mają podanie, iż za dawnych czasów byli bardzo odważni, lecz ktoś namówił ich przywdziać szaty niewieście; gdy to zrobili, utracili męztwo i zostali ujarzmieni. We wszystkich tych faktach widzimy, jak samo obcowanie z kobietą działa i jak nawet nie pozostaje bez wpływu stosunek z jej ubraniem: hart ducha upada, organizm niewieścieje, oręż staje się niezdatnym do dalszego użytku. Niebezpieczeństwo to, grożące mężczyźnie, zwłaszcza nabierało mocy w pewnych okresach życia kobiety, powtarzających się prawidłowo, a najbardziej uwydatniających słabość i niższość organizmu niewieściego. Takie zapatrywanie się na pewne stany fizyologiczne, właściwe płci żeńskiej, było płodem już istniejącego poglądu, iż kobieta jest źródłem zarazy, które należy unikać. Ale skutek z biegiem czasu zamienił się na przyczynę: ponieważ kobieta przechodzi pewne dolegliwości, trzeba jej przeto unikać nietylko w odpowiednim okresie czasu, ale i po za nim. Pojmowanie to jest jednak późniejsze.

Właśnie tym przesądem, że obcując w sposób towarzyski i wogóle stykając się w pracy i w zabawie z kobietą, mężczyzna „zaraża się" kobiecością, tj. niewieścieje, badacz angielski tłomaczy zwyczaje odrębności, jakie spotykamy powszechnie w życiu ludów dzikich i barbarzyńskich w stosunku pomiędzy kobietą a mężczyzną. Odrębność ta niekiedy dosięga takiego napięcia, iż w niektórych miejscach zupełnie niszczy wszelkie pożycie rodzinne — istnieje tam stadło małżeńskie, ale mimo ogniska domowego, istnieją małżonkowie, lecz niema rodziny. Weźmy chociażby zwyczaje fidżyjskie: mężczyźni na tym archipelagu spędzają nietylko dzień, ale i noce w domu gminnym, który służy im za sypialnię, uchodzi bowiem za rzecz zdrożną i nikczemną sypiać pod strzechą domową. „Sprzeciwia się to wszelkim pojęciem delikatności fidżyjskiej, gdyby małżonek pozostawał z żoną lub żonami pod tym samym dachem podczas nocy... Schadzki pomiędzy żoną a mężem odbywają się w gąszczach leśnych, w miejscu, które jest znane tylko im dwojgu." Wszyscy przedstawiciele płci męzkiej spędzają noce w budynku gminnym, w którym noga kobiety nie może postać. Zwyczaj ten oddzielania małżonków powtarza się w wielu punktach globu w postaci ostrzejszej lub złagodzonej. Powszechny w Melanezyi i Polinezyi, istnieje on nawet u ludów względnie posuniętych w kulturze, stojących, jak powiedziałby L. Morgan, już u progu cywilizacyi. U Nubijczyków np. każda rodzina posiada na mieszkanie dwa domki: jeden dla mężczyzn, drugi dla kobiet. W Korei chłopcy i dziewczęta do ósmego roku życia chowają się razem, poczem dziewczęta pozostają w mieszkaniu żeńskiem, w którem żyją w zupełnem zamknięciu aż do zamążpójścia. Atoli wyjście za mąż jest niczem innem, tylko zamianą jednego więzienia na drugie: kładą jej w uszy, że kobieta, jeśli nie chce być nieprzyzwoitą, nie powinna widzieć żadnego mężczyzny ani mówić z nim, prócz osób własnej rodziny. Co więcej, od lat ośmiu wieku nie wolno jej pod żadnym pozorem wejść do mieszkań męzkich w domu rodziców. Po zamążpójściu z pośród mężczyzn widuje tylko małżonka, lecz nawet z nim nie je jednocześnie — każda płeć obiaduje oddzielnie. Słowem, życie domowe jest tam rzeczą nieznaną. Zwyczaje takie tu i owdzie prowadzą do powstania osobliwej architektury zagrody domowej. Widzieliśmy już u Nubijczyków, że istnieją tam dla rodziny dwa domki, jeden męzki, drugi żeński. Na archipelagu Sandwich liczba ta, wśród rodów zamożniejszych, wzrasta aż do sześciu: w jednym odbywa się nabożeństwo, w innym mężczyźni spożywają obiad i wieczerzę, w innym jeszcze — kobiety; jeden dom służy za sypialnię, nadto istnieje chatka specyalnie dla przebywania kobiet w pewnych okresach; jest jeszcze jeden domek dla zajęć gospodarczych. O Odzybujach pewien pisarz, Jones, mówi: „Zaledwie spostrzegłem nieznaczne ślady towarzyskiego stosunku pomiędzy mężem a żoną. Warto zanotować ten szczegół, iż kobiety prawie nie odzywają się w obecności mężczyzn."

Przytoczyliśmy fakty najjaskrawsze — te, gdzie wyodrębnienie pomiędzy płciami zupełnie niszczy wszelkie pożycie rodzinne. Objawy tego rodzaju są powszechne, choć nie zawsze bywają tak konsekwentnie urzeczywistnione, jak np. na archipelagu fidżyjskim, na którym obie płcie zostały nawzajem odgrodzone. Wszędzie jednak istnieje ta dążność oddzielenia mężczyzn od kobiet, dążność, której szczątki zdołalibyśmy nawet odnaleźć w naszej rodzimej kulturze ludu. W tej mierze moglibyśmy powołać się na przesąd, iż spotkana baba wróży myśliwcowi niepowodzenie, albo na zwyczaj, istniejący w niektórych okolicach kraju naszego, iż obie płcie idą oddzielnie w procesyi i w kościele zajmują inne strony. Zjawisko, że każda płeć spożywa posiłek niezależnie od drugiej, jest tak powszechne, iż raczej trzeba byłoby poszukiwać wyjątków od tej zasady, aniżeli faktów takiej odrębności. Zabawa w okresie pierwotnym także posiada inny charakter, niż u nas: tańce, w których mężczyźni i kobiety mieszałyby się w korowodzie jak u nas, są bardzo rzadkie, zwykle mężczyźni tańczą, kobiety zaś wybijają takt. Sfery zajęć są tak odgrodzone, że pod żadnym pozorem mężczyzna nie pomoże kobiecie w jej zajęciach, chociażby te przewyższały jej siły, ani też nie pozwoli jej dotknąć się tego, co uważa za pole swojej pracy. Możemy tutaj przytoczyć zwyczaje ludów pasterskich w Afryce południowej, gdzie kobiecie nie wolno doić krów, ani wejść do kraalu, w którym bydło jest trzymane. Dochodzi nawet do tego, że u niektórych ludów obie płcie używają zgoła odmiennych wyrazów na oznaczenie tego samego przedmiotu. To dało powód niektórym podróżnikom do twierdzenia, że mężczyźni i kobiety u niektórych plemion używają odmiennych języków.

Nie mnożymy faktów, ani nie wdajemy się w szczegółowe wyliczanie objawów wzajemnej odrębności pożycia pomiędzy płciami, dosięgającej zwłaszcza napięcia podczas ciąży, oraz pewnych stanów fizyologicznych, właściwych organizmowi niewieściemu. W tych okresach życia swojego kobieta jest wprost usunięta ze społeczeństwa i zwykle musi zamieszkiwać chatę, stojącą na uboczu, którą wszyscy starannie unikają. A. E. Crawley tłomaczy to oddzielenie mężczyzn od kobiet, jak wiemy, przesądem zarazy. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż przesąd ów istnieje, co więcej, że ma na swoje poparcie liczne fakty: czy to osłabienie, które ogarnia mężczyznę po stosunku małżeńskim, czy też wpływy szkodliwe organizmu niewieściego na rośliny podczas stanów chorobliwych, czy wreszcie szersze objawy przenoszenia się epidemii. Zdarzenia te musiały potwierdzić wierzenie, że kobieta jest źródłem niemocy i zniewieścienia dla przedstawicieli płci męzkiej. Atoli, naszem zdaniem, zabobony i uprzedzenia jedynie wzmocniły, utrwaliły i przedłużyły odrębność pożycia, która powstała i istniała już niezależnie od nich. Powodów poszukiwałbym w żywiołowym podziale zajęć, który ukazał się bardzo wcześnie i wyodrębnił pewne sfery działalności jako męzkie, inne zaś żeńskie. Badając zwyczaje odrębnego spożywania pokarmów, przedewszystkiem zaś jakość posiłku męzkiego i żeńskiego, studyując pola zarobkowe, uprawiane przez każdą z pośród płci, zbierając materyał, dotyczący odmienności używanych wyrazów itd., dostajemy jak najcenniejsze wskazówki dla odtworzenia stosunków w gromadzie pradzikiej. Przypuszczenie

A. E. Crawleya tłomaczy nam, dlaczego mężczyzna obiaduje lub spożywa wieczerzę w odosobnieniu, ale w żaden sposób nie wyjaśnia, czemu stół męski składa się przeważnie z pokarmów zwierzęcych, żeński zaś z roślinnych, przyczem dochodzi nawet do tego, że kobietom nie wolno jeść zupełnie mięsa. Są plemiona, w których kobieta jest w całem znaczeniu tylko zwierzęciem roślinożernem.

K.

JĘZYKOZNAWSTWO.

Antoni Krasnowolski, *Systematyczna składnia języka polskiego.* Wydana z zapomogi Kasy pomocy naukowej dr. Mianowskiego. Warszawa, 1897.

Autor nazywa składnię nauką o *budowie*, czyli składzie *zdania*. Pominąwszy zbyteczny może w tym względzie pedantyzm, chętniebyśmy zadowolili się pomienionem określeniem, gdyby sam autor o wiersz niżej nie zaprzeczył swojej definicyi; bo pisze: „Lecz składnią nazywa się *sama budowa zdania.*" A więc budowa nie jest składem, jeżeli p. K. jedno od drugiego wyróżnia. Określenie podobne utrudnia uczniowi zrozumienie właściwego przedmiotu, pozostawiając go w wątpliwości na początku samego wykładu. Co to ma być: *budowa*, czyli *skład* i *sama tylko budowa?* Zdanie, że składnia opiera się przeważnie na logice, trąci scholastycyzmem. Nie składnia chyba, lecz metoda tego przedmiotu, opracowana przez uczonych, może mieć podstawę w rzeczonej gałęzi nauk filozoficznych. Język bowiem jest wynikiem czynności organów mownych, niezależnych zgoła od kategoryj logicznych. Nauka o języku może być opartą jedynie na zasadach fizyologii, newrologii i akustyce w związku z psychologią. Subtelność znaczenia, tudzież rzekoma jego logiczność należy raczej do metafizyki, aniżeli do lingwistyki, nauki, zdaniem naszem, zgoła empirycznej.

Autor upewnia, że unika terminologii nowej. Jest to prawdą, o ile dotyczy samych nazw, a nie ich zastosowania; bo co do tego drugiego, to panuje tu samowola niesłychana, tworząca zamęt w umyśle czytelnika. Morfologię nazywa p. K. etymologią, a tem pierwszem znowu mianem obdarza naukę o deklinacyach i koniugacyach. Treść jest u niego źródłosłowem i t. p.

W zdaniach, jak: mgli mnie, ochłodziło się, błyska się, grzmi itp. nie masz słów nieosobowych; albowiem rodzaj ich w czasie przeszłym zawisł od domyślnego przedmiotu w rodzaju nijakim (np. ochłodziło się). Na okoliczność tę zwrócili uwagę Miklosicz*) i Liebsch**).

Nie widzimy potrzeby, aby podmiot w innym, niż w pierwszym, położony przypadku, nazywać logicznym. Termin rzeczony jest wieloznacznym. Podmiot taki, zwłaszcza w przypadku drugim, powstał pierwotnie z atrybutu, zawisłego od domyślnego podmiotu (co, nieco), który przez zatarcie przycisku zanikł w pomroce wieków. Ślady zresztą tego spostrzegamy w rodzaju nijakim czasownika: np. wielu ludzi *umarło.*

Skracanie zdania przyczynowego za pomocą przysłówka *jako* jest germanizmem i galicyzmem; np. *Jako prawdziwy amator*... itd.; dlatego prawidło pod § 3, jak również odpowiednie przykłady, wyjęte z Korzeniowskiego, Mickiewicza i Sienkiewicza, uważamy za błędne, godno potępienia i zgoła niewłaściwe w podręczniku szkolnym, za jaki książkę autora uważać należy. W sprawie czystości języka nie mogą wyrokować pisarze wzorowi, którzy zajmując się lekturą francuską, przesiąknęli duchem mowy nadsekwańskiej. Obok pierwszorzędnych uwzględnić należy w materyale językowym i innych drugo i trzeciorzędnych. Każdy z pracujących na niwie piśmienniczej rozporządza właściwym sobie zasobem wyrażania swych myśli.

Autor, wymieniając języki analityczne, tj. mające deklinacyę przedimkową, jak np. francuski, niemiecki itp., nic nie wspomina o bułgarskim, bardziej dla nas z tego względu ciekawym. Poczóż p. K. części mowy nieodmienne (spójniki, przysłówki, przyimki) nazywa słówkami formalnemi? Czyż to ma być unikanie terminologii nowej?

Zaimek zwrotny *się* jest wyraźną fleksyą biernika (przyp. 4) — porówn. czeskie *me, te, se*; słowackie: *ma, t'a, sa*; słowiańskie czyli korutańskie: *me, te, se*; staroslowiańskie: *mię, tię, się* itp. Nie rozumiem, dlaczego autor formę tę zalicza do partykuł.

Niejasnem jest określenie biernika (przyp. 4): „Pierwotnie 4 przyp. oznacza *rozciągłość* przedmiotu, czyli wyraża, że rzecz wymieniona ma być wzięta w całej rozciągłości, we wszystkich kierunkach." O ile autor uwzględnił wątpliwości i trudności zwykle starannie omijane, świadczyć może ta okoliczność, iż czytelnik napróżnoby szukał prawideł i przykładów, jak np. biernik przy bezokoliczniku oznaczający podmiot: spodziewają się *go być* w innem towarzystwie; poznawszy *być ciało* św. Wojciecha; bacząc się tam *być* niebezpiecznym, zam. spodziewają się, że on będzie w innem towarzystwie; poznawszy, że to ciało św. Wojciecha itp.; biernik rodzaju i sposobu: np. bo cię już goni *we sta* koni; biernik narzędziowy: zażeśmy *w imię* twoje cud wiele nie czynili; biernik podobieństwa: *chłop w chłopa*; biernik z przyimkiem *na*, oznaczający trwanie: *na* swe stare *lata* musi biedę cierpieć; *na* każdą *noc* umyję łzami swoje łoże itp. Są to tylko niedokładności, dotyczące biernika, a cóż dopiero mówić o innych przypadkach. Dopełnienia tego rodzaju wymagały osobnego dzieła. Nie ulega wątpliwości, że w pracy autora w stosunku do innych książek widzimy postęp niepospolity, ale bądź co bądź nie wyczerpujący jeszcze przedmiotu.

Metoda porównawcza, której p. K. unika, jest w książce tej niezbędną, bo nietylko ożywia i zaciekawia, ale poniekąd udawadnia przywiedzione fakty. Brak tego właśnie ożywiającego czynnika dotkliwie daje się uczuwać. Praca niniejsza jest szkieletem, spisem formułek suchych, trudnych do spamiętania. Określenie np. genitivu pierwotnego, niеobjaśnione przykładami, jest zupełnie ciemne. Podobnież się rzecz ma co do ablativu. Wynika to właśnie ze wstrętu autora do języków słowiańskich i wogóle do metody porównawczej. Autor, wytykający często germanizmy, galicyzmy itp., sam w tej materyi niezbyt jest ostrożnym. Nierzadkie w podręczniku jego germanizmy: „niekiedy *tak samo*" (str. 9), „*Tak samo*, jeżeli" (str. 29). „*Tu należy* także dopełniacz (Hier gehört auch Genitiv, str. 51); „przedstawia sobie *jako* (als) rzeczywisty... *jako możebny* (str. 91). To *jako* i *tak samo* bardzo często się powtarza. Rażą dziwolągi językowe, obce nietylko duchowi polskiemu, ale i słowiańskiemu: *mnogoliczebny, pojedynczoliczebny, dopowiedzenie, szczegółowsze* (str. 56), *umożebnienie.* Pominąwszy to, że narzucanie się autora z nową pisownią w książce elementarnej uważać należy za przedwczesne, nie wiem, czem wytłomaczyć sobie: *zdefińjowanie* (!), gdy na następnej stronicy czytamy: „w definicyach." Mimo tych ujemności, któreśmy wymienili, książkę p. K. uważamy za krok naprzód w zaniedbanej dziedzinie prac syntaktycznych.

Justyn Feliks Gojsler.

*) *Vergleichende Syntax der slavischen Sprachen* Wien, 1868—74.

**) *Syntax der wendischen Sprache in der Oberlausitz.* Bautzen, 1884.

LITERATURA I SZTUKA.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Teatr lwowski.

Między wędrownemi dziećmi Melpomeny, które na sezon letni rozbijają swe namioty w naszem mieście, zawitała do nas i „operetka lwowska," obrawszy za siedzibę gmach cyrkowy. I stało się, że za sprawą tej „operetki" mieliśmy możność zaznajomienia się z dziełami, których daremnie szukalibyśmy w naszym „wielkim" repertuarze operowym. Gdy bowiem, zależni od zaangażowanej na razie śpiewaczki, od tenora z mniej lub więcej wysokiem c, czy barytona z pięknem *cantabile*, zmuszeni jesteśmy od lat wielu, za drogie pieniądze, wysłuchiwać corocznie odwiecznej „Łucyi z Lamermooru," „Violetty," „Purytanów," „Faworyty" i tak *da capo senza fine*, ta skromna „operetka" ze Lwowa daje nam, oprócz szeregu wodewilów i operetek, „Powrót taty" Jareckiego, „Werbowników" Jakescha, wznawia „Paziów Marysieńki" Duniеckiego, z obfitego dorobku Offenbacha wybiera ostatni jego, najpoważniejszy, a może i najmelodyjniejszy utwór „Opowieści Hoffmana," wprowadza na scenę „Jasia i Małgosię" Humperdincka, a na zakończenie gościny swojej wystawia—„Dziady" Moniuszki.

Dlaczego właściwie ta drużyna artystyczna, mająca doskonale zespolone chóry, niemniej dobrze wyćwiczoną orkiestrę, pod wodzą dzielnego kapelmistrza, p. Jareckiego, rozporządzająca sześciu solistkami (panie: Bohusówna, Bronikowska, Kasprowiczowa, Kliszewska, Radwanowa i Skalska), którychby nie powstydziłaby się duża scena, ochrzciła się skromnem mianem operetki—trudno dociec. Tem trudniej, że jeżeli śród personelu męskiego, nie mogącego z żeńskim wytrzymać porównania, znajdzie się ten i ów z jakim takim humorem (pp.: Kratochwil, Lelewicz, Myszkowski, pełniący jednocześnie z dużą znajomością rzeczy obowiązki reżysera), ze śpiewaczek ani jedna nie posiada „zacięcia" operetkowego. To też gdy wdzięczni „Paziowie" i poetyczna baśń sceniczna „Jaś i Małgosia" w wykonaniu Lwowian nic prawie nie pozostawili do życzenia, wesoły „Palestrant" (*Bettelstudent*), zręcznie bardzo do swojskich stosunków przykrojony, raczej—dramatycznie nastrajał słuchaczów. Główna w tem wina może przedstawicieli głównych bogatorów (pp. Olszewski i Jaroński) nader ubogo w warunki zarówno sceniczne, jak i wokalne uposażonych.

Najsilniejsze i najtrwalsze wrażenie pozostawią niewątpliwie po sobie „Dziady," znane dotychczas publiczności tutejszej jedynie z wykonania estradowego, pod wodzą Moniuszki, w latach dawnych, zaś w późniejszych pod dyrekcyą Münchheimera. Uscenizował „Widma" — taki bowiem tytuł nadał utworowi Moniuszko — ś. p. Dobrzański, były dyrektor teatru Skarbkowskiego, i w obecnej szacie bywają one wykonywane corocznie na scenie lwowskiej w dzień Zaduszny. Ilustracya Moniuszkowska utworu Mickiewiczowego stoi w całej pełni na wysokości tego arcydzieła. Muzyka po mistrzowsku zlewa się ze słowem, melodya

oddaje genialnie charakter każdej sceny. Dobrzański oryginału w niczem nie zmienił: jesteśmy w kaplicy, wieczorem, śród zebranego ludu i guślarza, wywołującego widma. Mamy tedy, po przepysznej introdukcyi orkiestrowej, tajemniczy chór: „Ciemno wszędzie...“ a potem kolejno przesuwające się cienie Józia i Rózi w postaci aniołków, dziedzica, wieśniaka i wieśniaczki, zastępujących kruka i sowę, Zosi z barankiem, wreszcie Gustawa. Uroczy wdzięk i poezya widma pierwszego i trzeciego, groza rozpaczliwej skargi sknery, bolość oskarżenia pokrzywdzonych odzywa się to rozmarzającą, to wstrząsającą, a zawsze w tem samem czystem źrodle geniuszu poczętą, zawsze nawskroś swojskim duchem tchnącą melodyą. Tło chórów, prześliczna zwrotka: „A kto prośby nie posłucha...“ dopełnia to arcydzieło, które się kończy znakomicie oddającym przestrach chórem, w którym rozwinięte są tematy uprzednie.

Do należytego wystawienia dzieła podobnego, do osiągnięcia należytego złudzenia przy uzmysławianiu takich wytworów fantazyi poetyckiego geniuszu—trzeba rozporządzać udoskonalonemi w wysokim stopniu środkami scenicznymi. Wydaje nam się jednak, że i przy tych skromnych, jakie reżyserya trupy lwowskiej posiada, można było osiągnąć daleko lepsze efekty optyczne, zwłaszcza mając światło elektryczne. Trzeba istotnie zespolonej potęgi takich dwóch genialnych talentów, żeby np. scena z widmem Gustawa, które, najtrywialnej ucieleśnione w postać przybranego w wielką perukę i otwartą na piersi, dla uwidocznienia „pąsowej pręgi,“ koszulę, wędruje sobie ciężkim krokiem po kaplicy— wywarła wrażenie potężne, tak, iżby w przestrach zgromadzonego ludu uwierzyć można. A uwierzyliśmy.

Z wykonawców ról pojedynczych przedewszystkiem pochwała należy się pani Skalskiej (Zosia), która pieśń swoją wykonała z dużem odczuciem poezyi i subtelnem wycieniowaniem szczegółów. P. Jednowski (wieśniak) rzucił oskarżenie swoje pełzającemu u stóp jego sknerze, z wielką siłą i artystycznem umiarkowaniem. P. Olszewski (dziedzic), p. Kiczman (guślarz) w miarę uzdolnienia wywiązali się z powierzonych ról, p. Radwanowa była bardzo dobrą wieśniaczką. Zaznaczyliśmy już, że teatr lwowski posiada doskonale ześpiewane chóry i zgraną orkiestrę — w wykonaniu „Dziadów“ wszakże zarówno jedne jak i druga za mało dbały o wykończenie szczegółów, za mało rzeźbiły i uwypuklały przecudne efekty Moniuszkowskiej harmonii i instrumentacyi. Bądź jak bądź, zasłużyli sobie Lwowianie na wdzięczność naszą za wystawienie dzieła, które ducha podnosi i na ton niepowszedni nastraja. Żeby jednak wrażenie było całkowite, nie należy od „Dziadów“ zaczynać widowiska — wobec nałogowego spóźniania się naszej publiczności — w szmerze spowodowanym poszukiwaniem miejsc, przepada dla tych, którzy przyszli w porze, wspaniała introdukcya, a nieraz i pierwszy chór. Opuszczać zaś salę, w której przemawiali do nas słowami i dźwiękami Mickiewicz z Moniuszką, powinniśmy w tym nastroju, w jaki nas słowa te i dźwięki wprawiły — nie godzi się rozpraszać go figlami paziów i błazna królewskiego, ani przygodami zabłąkanych w lesie dzieci, choćby jedne i drugie w najdoskonalszą przyobleczone były formę.

Podobno trupa lwowska powróci do nas w roku przyszłym — powitamy ją równie dobrze, jak ją niechętnie żegnamy. A mamy nadzieję, że wzmocni swoje siły odpowiedniejszym do łcuskiego personelem męzkim. Brak tenora był bardzo dotkliwy — p. Malawski, artysta obdarzony głosem dosyć silnym i dźwięcznym, mało bardzo ma jeszcze doświadczenia scenicznego i rutyny, przytem fatalna wymowa ośmiesza często najlepsze efekty. Śliczny i dobrze wyszkolony baryton p. Górskiego kilka razy tylko mieliśmy sposobność słyszeć — przytem jest to śpiewak obdarzony dużym temperamentem scenicznym, szkoda zatem, że się publiczności tutejszej tak mało udzielał. P. Bogackiego obdarzyła natura nader metalicznym basem o skali dość rozległej, zwłaszcza w tonach wyższych, przechodzących w barytonowe; szkołę ma artysta dobrą, emisyę zupełnie prawidłową, a gdy jest usposobiony, i aktor z niego wcale dobry. Oto filary personelu męzkiego. Z artystek głos najładniejszy ma panna Bohussówna (sopran), ale młoda śpiewaczka szafuje nim nieopatrznie, a tak pogardza śpiewem *mezza-voce*, że wysokie nuty zaczynają już w krzyk przechodzić; jako aktorka zaś chłodna jest bardzo i często robi wrażenie poprawnie, czysto, dźwięcznie śpiewającego instrumentu. P. Kliszowska (sopran koloraturowy) z niewielkim, doskonale postawionym i wyrobionym głosem, łączy dużo wdzięku i finezyi w grze, panie Bronikowska, Radwanowa, Kasprowiczowa i Skalska mogą z zupełnem powodzeniem podjąć się wykonywania partyj dramatycznych i charakterystycznych, posiadają bowiem odpowiednie warunki zarówno wokalne, jak i aktorskie.

Br. N.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

PEDAGOGIKA. Ks. F. Peters: „Wejście w świat młodej panienki, niebezpieczeństwa moralne i środki zapobiegające,“ przeł. Z. Słósarska (98 str.). Paprocki. Jest to moralistyka bez wartości.

— J. Chrząszczewska i J. Warnkówna. „Rok czytania,“ część II (407 str.). Orgelbrand.

POWIEŚĆ. K. Junosza: „Monologi“ (142 str.). Pa-[illegible]

— Tegoż: „Powtórne życie“ (284 str.). Wilno, Za-[illegible]

— W. Sieroszewski (Sirko): „W matni“ (296 str.). Gebethner i Wolff.

— A. Gruszecki: „Krety“ (420 str.). Gebethner i Wolff.

NAUKI. A. Fajfofer: „Pierwsze początki geometryi,“ przeł. W. Kwietniewski (271 str.). Gebethner i Wolff.

— Sz. Askenazy: „Studya historyczno-krytyczne“ (wyd. 2-gie, 352 str.). Kraków. Gebethner.

— W. Studnicki: „Współczesna Syberya“ (z mapą — 161 str.). Kraków. Gebethner.

BIJOGRAFIA. F. Hösick: „Juliusz Słowacki“ (1809—1848), biografia psychologiczna (I t., 428 str., II — 319, III — 417). Gebethner i Wolff.

POEZYE

RYBAK.

Ze smutego wybrzeża na morskie głębiny
Zarzuca rybak siatkę misternego wzoru.
Fala siatkę rozdyma, i zda się z pozoru:
Pewna zdobycz!.. Wyciąga—piasek, muł i trzciny.

A z siatki same strzępy. Lecz, ledwie krąg słońca
Zdoła obiegnąć niebo, dzierga inną znowu,
Zarzuca z wiarą w morze i pewny połowu
Spotyka nowy zawód; i tak jest bez końca.

I będzie. Próżno rybak klnie los i narzeka.
W księdze smutnych przyznaczeń nic się nie od-[mienia:
Siatka ciągle się pruje, a zdobycz ucieka.

Morze — to życie ludzkie; fala — to złudzenia;
Niezmordowany rybak — to dusza człowieka,
Zdobycz—szczęście; a siatka—to nasze marzenia.

ŚWIAT.

Tratując ciała żywe, miażdżąc serca, dusze,
Niby szalone słonie, olbrzymią lawiną
Prą się ludzie na ludzi i w ciemności płyną,
Jak okręt obłąkany w nocnej zawierusze.

Zapomniano o wszystkiem w tej dzikiej gonitwie:
Filozofi, kapłani i tłum niespokojny
Wszyscy pędzą gotowi do mordu i wojny;
Nikt nikogo nie pyta: co będzie po bitwie?!

Olbrzymie, wiecznie głodne, rozpasane stada,
Gryząc się o kęs lepszy, z palącym oddechem
Rozkiełznanych żądz niskich, grożąc sobie—biada!
Tarzają się po ziemi, przesiąkniętej grzechem.
A na wszystko, jak marmur, obojętna, blada
Śmierć patrzy z olimpijsko spokojnym uśmiechem.

G. Daniłowski.

SPRAWY EKONOMICZNE

DZIESIĘCIOLETNIA DZIAŁALNOŚĆ

instytucyj obowiązkowego ubezpieczenia robotników w Niemczech.

Wrzędzie zagadnień polityki socyalnej kwestya obowiązkowego ubezpieczania robotników zaczyna nabierać coraz większej wagi. Pomimo dodatnich skutków, jakie okazały się w Niemczech po 10-ciu latach istnienia tej instytucyi, napotyka ono jeszcze opór w świecie kapitalistycznym innych państw. Przeciwnicy jej występują ze śmiesznymi argumentami, jak niegdyś przeciw prawodawstwu fabrycznemu, przeciw uregulowaniu pracy kobiet i dzieci. Okazało się to szczególnie na odbytym w pierwszych dniach sierpnia kongresie międzynarodowym w Brukselli w sprawie nieszczęśliwych wypadków przy pracy. Przeciw ubezpieczeniu przymusowemu występowali najbardziej przedstawiciele fabrykantów francuskich. Zbijali oni ideę „państwa-opatrzności“ (*Etat providence*), której nikt zresztą nie broni, bo jej nikt nawet nie stawia, dowodzili, że fabrykanci będą zupełnie lekceważyli środki ochronne przy pracy, ponieważ każdy nieszczęśliwy wypadek jest już z góry „ubezpieczony,“ że robotnicy, mając zapewnioną rentę na wypadek kalectwa i wynagrodzenie na wypadek śmierci, będą mniej ostrożni i t. d. Według takiej logiki wszelkie Towarzystwa ubezpieczeń w razie choroby lub śmierci powinny być prawnie zakazane, prowadzą bowiem do samobójstwa ubezpieczonych. Klasowy egoizm kapitalistów gardzi logiką, gdy chodzi o obronę ich przywilejów, a im jest ciaśniejszy, tem wznioślejszych używa haseł. To też szumne godła wielkiej rewolucyi francuskiej o swobodzie powszechnej i nieskrępowania niczyjej działalności, o nieinterwencyi państwowej w sprawie stosunków fabrykantów do robotników, rozlegały się często na tym zjeździe egoizmu kapitalistycznego. Widzieliśmy nawet, jak pewien dziennik wielko-kapitalistyczny (a nie był wyjątkiem) bronił przedewszystkiem sprawy patryotycznej, a tak znacząco mrugał okiem w stronę Niemców, jak gdyby pragnął, aby w czytelnikach idea „odwetu“ zwyciężyła ideę dobra pracujących. Ponieważ ubezpieczenie przymusowe nakłada pewien podatek na fabrykantów (a klasy panujące nigdy nie lubiły nakładać na siebie podatków), więc ów dziennikarz znalazł powód do następującego twierdzenia: „Nie należy zapominać, że w zagadnieniu tem tkwi kwestya konkurencyi międzynarodowej. Niemcom chciałoby się

bardzo nałożyć na przemysł francuski ciężary równe tym, jakie ubezpieczenie przymusowe na nich nałożyło. Nie trzeba dać się wyprowadzić w pole przez fałszywą filantropię*)." Ustęp ten, przetłomaczony na prosty język, znaczy: nie należy czynić nic dobrego dla robotników, gdyż nieprzyjaciel „narodowy," jakim są Niemcy, może z tego skorzystać. Przytoczyliśmy charakterystyczny ten wyjątek, aby pokazać, jak dalece idea ta jest jeszcze niepopularną w świecie, zagarniającym nadwartość z cudzej pracy. Naprożno delegaci niemieccy powoływali się na dziesięcioletnie przeszło istnienie ubezpieczenia przymusowego w Niemczech, które zadaje kłam urojonym obawom przeciwników, delegaci francuscy i belgijscy zostali przy swojem. Co do nas, mniemamy, że ubezpieczenie, którem cieszą się robotnicy niemieccy, jest niedostateczne, gdyż zapewnia im zaledwie bardzo nędzny byt na wypadek niezdolności do pracy i na starość, a nie sądzimy, aby dzisiejsze państwo klasowe mogło im dać o wiele więcej. Widzimy w niem jednak wielkie korzyści dla ubezpieczonych, przedewszystkiem zaś tę, że uwalnia ich od jałmużny. Jałmużna i filantropia, zarówno prosty datek, ofiarowany żebrakowi, jak wszelkiego rodzaju przytułki i ochrony, są wyrazem panowania klasowego jednych nad drugimi, ponieważ życie biedaka zależnem jest tu od dobrej woli bogatych. Natomiast w organizacyi ubezpieczenia przymusowego tkwi zasada, że każdy ma prawo żyć, żądać od społeczeństwa, aby go uchroniło od śmierci głodowej. Zasada ta stanowi najważniejszą, podług nas, stronę instytucyj, o których mówić zamierzamy.

Polityka reform socyalnych, zainaugurowana przez Bismarcka, znalazła swój wyraz w przymusowem ubezpieczeniu pracujących, które obejmuje wypadki: 1) choroby, 2) nieszczęścia przy pracy, 3) starości. O każdym z tych trzech działów pomówimy osobno.

I.

Na pierwszem miejscu musimy postawić prawo o ubezpieczeniu na wypadek choroby (Kranken-Versicherungsgesetz), ponieważ pojawiło się ono najpierwej, 15 czerwca 1883 r. i wprowadzone zostało w życie 1 grudnia 1884 r. Uregulowało ono reformę opieki nad chorymi, reformę umożliwiającą równolegle ubezpieczenie na wypadek nieszczęść przy pracy. Dwie te gałęzie ubezpieczenia uzupełniają się wzajemnie i mają na celu niesienie pomocy robotnikowi w razie, gdy stanie się chwilowo niezdolnym do pracy z powodu choroby lub nieszczęśliwego wypadku. Pod panowaniem poprzednich praw o kasach chorych korzystała z nich mniej, niż połowa osób, potrzebujących zasiłku, a dobroczynny ich wpływ w porównaniu z tem, co obecnie daje ubezpieczenie, był bardzo mały.

Doświadczenie to doprowadziło do ubezpieczenia *przymusowego*. Rozciągnięto je na robotników przemysłowych i na oficyalistów fabrycznych, zarabiających najwyżej 2,000 marek rocznie, a nadto do takich grup zawodowych, dla których, jak np. dla robotników rolnych lub pracujących w przemyśle domowym, przymus mógł się okazać koniecznym i możliwym do przeprowadzenia tylko w pewnych warunkach miejscowych.

Stosownie do tego, zasadą ubezpieczenia przymusowego stała się praca najemna, tak, że osoby, pracujące na samych siebie (z wyjątkiem tych, co trudnią się przemysłem domowym) nie podlegają temu prawu. Robotnicy jednak, służący i urzędnicy, wyłączeni z obowiązku ubezpieczenia, mogą przystąpić z własnej woli do prawnie ustanowionego ubezpieczenia.

*) *Le Figaro*, z dnia 4 sierpnia r. b.

Ustawa z 10 kwietnia 1892 r., która weszła w życie z dniem 1 stycznia 1893 r. rozszerzyła jeszcze bardziej koło osób, obowiązanych lub mających prawo podlegać ubezpieczeniu. W ten sposób zostali przymusowo ubezpieczeni wszyscy zajęci w handlu, w kancelaryach adwokatów, rejentów, komorników, w biurach kas dla chorych, stowarzyszeń fachowych i zakładów asekuracyjnych; oficyaliści wiejscy w niektórych miejscowościach; dalej osoby wolne od przymusu, zarabiające do 2,000 marek rocznie, otrzymały prawo przyłączyć się dobrowolnie do samoubezpieczenia na podstawie osobnych statutów.

Ubezpieczenie oparte jest na podstawach wzajemności i *samorządu*. Towarzysze jednego i tego samego zawodu, połączeni w związki fachowe, rządzą własnymi interesami ubezpieczeniowymi. Ma to dwa bardzo ważne skutki dodatnie: naprzód, samorząd wywiera na robotników bardzo pożądany wpływ wychowawczy; powtóre, dzięki bliskim stosunkom członków danej kasy, kontrola nad udawanymi wypadkami choroby w celu wyłudzenia pomocy pieniężnej staje się bardzo łatwą.

Natomiast ubezpieczenie chorych ogranicza się na organizacyach *miejscowych*, ponieważ chodzi tu o wielką ilość mniej ważnych wypadków, przy których pomoc musi być szybko udzieloną, jeżeli ma być skuteczną. Prócz istniejących kas dobrowolnych, prawo ustanowiło następujące przymusowe: 1) miejscowe kasy chorych, które winny być urządzone przez gminy dla wszystkich gałęzi przemysłu, w danej miejscowości istniejących; 2) fabryczne kasy chorych, które winny być zakładane przez wielkich przedsiębiorców przemysłowych; 3) kasy, zakładane przez budowniczych, prowadzących przedsiębiorstwa czasowe; 4) kasy cechowe; 5) górnicze, oparte na przepisach pojedynczych państw rzeszy, i 6) gminne, które nie są właściwemi kasami chorych, lecz przedstawiają organizacyę pomocy komunalnej i obejmują wszystkie osoby, podlegające przymusowemu ubezpieczeniu, które nie należą do żadnej kasy przymusowej lub dobrowolnej. Przejście od jednej do drugiej jest swobodne.

Ubezpieczony otrzymuje zasiłek w wypadkach choroby w ciągu najmniej 13 tygodni. Minimum pomocy, której każdy ma prawo żądać jest: 1) od początku choroby bezpłatna pomoc lekarska, bezpłatne lekarstwa, okulary, bandaże itp. środki lecznicze; 2) w wypadku niezdolności do pracy, począwszy od trzeciego dnia choroby: pieniądze za każdy dzień roboczy w wysokości połowy codziennego zarobku; lub też wzamian: bezpłatny pobyt i kuracya w szpitalu, oraz pieniądze jak wyżej. Do tego w kasach przymusowych należy jeszcze: 3) pogrzebowe w wysokości 20-krotnego przeciętnego zarobku ubezpieczonego i 4) dla położnic 4-tygodniowa pomoc lekarska i pieniężna.

Wkłady ubezpieczonych, określone przez prawo, wynoszą: przy gminnem ubezpieczeniu chorych 1 najwyżej $1\frac{1}{2}\%$ miejscowego zarobku dziennego prostych robotników, w innych wypadkach 2 najwyżej 3% przeciętnego zarobku dziennego danej kategoryi robotników, dla której ustanowioną została kasa. Przytem fabrykanci obowiązani są płacić połowę wkładów swych robotników, tak, że w ogólnej sumie robotnicy płacą $^2/_3$, fabrykanci $^1/_3$ wszystkich wkładów. Koszty zarządu ponosi każda kasa; o kosztach tych stanowią delegaci robotników przy współudziale fabrykantów i przedstawicieli władzy; lecz przy ubezpieczeniu gminnem padają one na całą gminę, a przy budowlanych kasach na przedsiębiorcę.

Wkrótce oczekiwać należy dalszego rozszerzenia ubezpieczenia chorych na robotników rolnych i służbę. Dziś na cele ubezpieczenia chorych, jak to zaraz zobaczymy, wydaje się rocznie przeszło 100 milionów marek, przy 8 milionach ubezpieczonych.

Rozwój tej gałęzi ubezpieczenia da się najlepiej przedstawić za pomocą następującej tabliczki*):

Lata	Liczba ubezpieczonych	Wypadków choroby	Liczba [illegible] chorób	Wydatki na koszty chorób m.	Koszty dn. chor.
1885	3,700,000	1,800,000	25,300,000	47,400,000	1,9
1886	4,300,000	1,710,000	26,200,000	53,000,000	2,0
1887	4,500,000	1,730,000	27,100,000	55,200,000	2,0
1888	4,800,000	1,760,000	29,500,000	61,500,000	2,1
1889	5,500,000	2,040,000	33,400,000	70,900,000	2,1
1890	6,000,000	2,420,000	39,100,000	84,000,000	2,1
1891	6,300,000	2,390,000	40,700,000	89,500,000	2,2
1892	6,900,000	2,470,000	42,700,000	94,200,000	2,2
1893	7,100,000	2,790,000	46,100,000	101,900,000	2,2
1894	7,200,000	2,490,000	43,600,000	99,500,000	2,3

W liczbie kosztów niema wydatków na administracyę, ani potrącenia na kapitał rezerwowy. W roku 1895 majątek wszystkich kas wynosił 132,662,4[illegible]8 marek, wydatków było 148,436,820 m. na 156,746,236 m. dochodu i 2,930,481 chorych. Dni choroby wynosiły ogółem [illegible]0,301,277, ubezpieczonych było 8,005,079. Przeciętne rezultaty za 10-lecie 1885—1895 są następujące. 1 robotnik płacił rocznie 10,19 m., fabrykant 3,96 m.; 1 wypadek choroby trwał przeciętnie 16,4 dni i kosztował 34,98 m. Na 100 marek kosztów wogóle wypada: zasiłek pieniężny dla chorego (Krankengeld) 46,[illegible], lekarz 20,45, środki lecznicze 16,61, opieka szpitalna 10,97, pogrzebowe 4,00, wydatki na łożko (Wochenbett) 1.41 m.

Ze stopniowego zwiększania się kosztów na każdy dzień choroby należy wnioskować, że pomoc, udzielana chorym, ciągle się polepsza.

O PRAWDE.

Szanowny Panie Redaktorze!

W imię bezstronności upraszam o łaskawe pomieszczenie następnych kilku uwag z powodu artykułu p. J. Ohr. w 36-ym numerze *Prawdy*.

Z góry muszę się zastrzedz, że nie mam zamiaru ani bronić nieobecnego redaktora *Hacefiry*, który obrony mej nie potrzebuje, ani też polemizować z p. Ohr., którego osobiście nie znam. Jedynie w celu wyświetlenia prawdy pragnę zwrócić uwagę czytelników, że p. Ohr. usiłuje wprowadzić w błąd redakcye pism i opinię publiczną co do kierunku hebrajskiego pisma *Hacefira* zapomocą przeistaczania cytat oraz zestawiania ich w sposób zmieniający zasadniczo myśl autora. Wszystkie przytoczone przezeń cytaty są sprzeczne z tekstem hebrajskim.

1) W numerze 240 p. Ohr. spotyka „drwiny z dwóch humanitarnych, lecz nie pobożnych projektów pomocy ze strony Żydów dla unitaryanów i misyonarzy anglikańskich". Pomoc ze strony Żydów dla misyonarzy — jest to myśl potworna i nielogiczna. Natomiast w odpowiednim numerze *Hacefiry* jest mowa o dwóch uczonych angielskich, Montefiorym i Simonie, z których pierwszy, przewidując w niedalekiej przyszłości zlanie się wyznawców mozaizmu z unitaryanami, proponuje założenie w Oksfordzie akademii duchownej wspólnej dla Żydów i sekty unitaryańskiej, drugi zaś radzi Żydom na wzór Anglików mieć własnych misyonarzy dla szerzenia zasad wiary żydowskiej. Oba projekty redaktor słusznie uważa za mrzonki, a zawarte w nich myśli są tak dalekie od myśli, wyczytanej w nich przez

*) Cyfry zaczerpnęliśmy z *Leitfaden zur Arbeiter-Versicherung des Deutschen Reiches*. Neu zusammengestellt für die Brüsseler Welt-Ausstellung vom Reichs-Versicherungsamt in Berlin, 1897 i z broszurki p. t.: *Was hat die Deutsche Arbeiterversicherung im ersten Jahrzehnt ihrer Wirksamkeit für die Arbeiter geleistet?* von Dr. jur. Richard Freund, Vorsitzendem der Invaliditäts- und Altersversicherungsanstalt Berlin. 1897.

p. Obr., jak dalekim jest np. sumienny sprawozdawca od niesumiennego.

2) W następnym (241) numerze p. Obr. znajduje „napaść na postępowych rabinów amerykańskich, a także radosną nowinę, że generał Sée nie został wybrany do żydowskiego konsystorza w Paryżu za zaniedbanie jednego z przepisów religijnych". W powyższym numerze przytoczone jest zdanie *rabina z Kanady* (nie redaktora) nie o postępowych rabinach, lecz o skrajnych reformatorach (różnica jest wielka) amerykańskich, o których znany w Anglii ksiądz katolicki Ignacyusz mówi, że „zdradzili swego boga, swych przodków i swój naród". Co się zaś tyczy niewybrania generała Sée do konsystorza, to fakt ten podany został bez komentarzy, a więc o żadnej „radosnej nowinie" nie może być mowy.

3) Najniemiłosierniej obszedł się p. Obr. z krytyką literacką w numerze 242, z której wyrwał oddzielne zdania lub pojedyńcze nawet wyrazy i skleił je następnie w sposób, który spacza w zupełności myśl autora. Otóż zaznaczę przedewszystkiem, że tak lekceważony przez p. Obr. dr. Bernfeld jest to były nadrabin w Belgradzie, doktór filozofii, znany literat, zwolennik Mendelsohna, człowiek bardzo postępowych zasad. W sprawozdaniu z nowelki p. Brandst. dr. B. utrzymuje, że obrazek p. Brandst. nie odpowiada rzeczywistości, gdyż Żydzi starego pokolenia nie przepędzali wesoło czasu w knajpach, jak to autor przedstawia, lecz w Bethamidraszu (w domu przeznaczonym dla modlitwy i nauki), zaś w knajpach przesiadują postępowi „pewnego gatunku" (pseudointeligentni), którzy jednak pod względem moralności nie stoją wyżej od dawnych nabożnych Żydów. Ta mimolotna wzmianka wystarczyła p. Obr. do napisania, że „p. doktór (!) pisze o paskudnikach, t. j. o teraźniejszej młodzieży żydowskiej, co nie chce *siedzieć* w Bethamidraszu i *stoi* o wiele niżej od Żydów nabożnych". Doprawdy, trudno o większą zdolność w przekręcaniu czyichś myśli.

4) W numerach 243 i 244 p. Obr. znalazł „obszerną odezwę do ortodoksyjnych rabinów węgierskich, żeby się uczyli trochę po węgiersku, bo ta nauka jest obecnie potrzebną, jako służebnica nauk świętych". W tej odezwie redaktor dowodzi rabinom ortodoksyjnym potrzeby dla nich nauk świeckich i języka krajowego, wymaga od nich dyplomów uniwersyteckich (wyrazy: „trochę po węgiersku" należą do sumiennego krytyka) i jako wzór stawia im dawniejszych światłych uczonych żydowskich, dalej rabinów niemieckich, wreszcie powołuje się na powagę ortodoksyjnego rabina Hirsza, który powiada, iż podstawą wiedzy rabina powinna być nauka święta, ale obok tego należy uprawiać nauki świeckie (nauki świeckie powinny być, jak się ostatni obrazowo wyraża, służebnicami nauki świętej).

Dodam jeszcze, że „Lucyfer", o którym się p. Obr. z lekceważeniem odzywa, jest to pseudonim cenionego i wysoce uzdolnionego literata hebrajsko żargonowego, należącego do obozu skrajnie radykalnego. W fejletonie p. Lucyfera o stowarzyszeniu subjektów w. m. jest wiele przesady, ale wiele również gorzkiej prawdy. Co się zaś tyczy „bajeczek" p. Steinberga, to p. Obr ich nie czytał albo nie zrozumiał. Obok kilku rzeczy, zabarwionych szowinizmem, na co zresztą już poprzednio zwrócił uwagę powyższy p. Lucyfer w swej krytyce w *Hacefirze*, w dziełku p. Steinberga znajdujemy prawdziwe perły, któremi każde inne piśmiennictwo poszczycić by się mogło.

Trudno mi po tem wszystkiem uwierzyć w to, że artykuł pana Obr. napisany został „dla dobra tutejszej inteligencyi, nieumiejącej po hebrajsku".

Bądź co bądź, nie z powyższych dowolnie zmienionych i przeistaczanych cytat p. Obr. wolno sądzić o kierunku *Hacefiry*. Jako jedyne pismo hebrajskie w kraju, nieraz daje ono głos przedstawicielom rozmaitych partyj, z któremi redakcya nie zawsze jednak się solidaryzuje, ale o kierunku i zadaniach pisma dowiedzieć się można z prac samego redaktora. Sumienny krytyk zwróciłby uwagę inteligencyi żydowskiej na cały szereg artykułów, pomieszczonych niedawno w *Hacefirze* pod tytułem „Dysputujmy", którymi redaktor bardzo się przysłużył sprawie prawdziwego postępu.

Z wysokiem poważaniem
D-r S. Mintz.

Ponieważ kwestya ta poruszona została przez głos z po za redakcyi, więc spór o nią zamykamy. *Red.*

W DALI.

Łódź. Rzecz dziwna, po prostu zdumiewająca dla człowieka, który chce głębiej patrzeć w potrzeby społeczne, że tak olbrzymie miasto, jak Łódź, gdzie dziesiątki tysięcy ludzi pracuje z natężeniem, gorączką, prowadzi życie nienormalne, nadużywa sił nerwowych i mięśniowych, gdzie dziesiątki tysięcy ludzi boryka się z nędzą, niedolą, upada pod brzemieniem trosk lub dźwiga w swych organizmach „usposobienia dziedziczne," że takie miasto dotychczas jeszcze nie mogło się zdobyć na przytułek dla obłąkanych. Dopiero teraz ma ono otrzymać skromne schronienie „czasowe." Pomyślało o tem nareszcie miejscowe Towarzystwo dobroczynności. Oprócz tej instytucyi, umieści ono we własnym gmachu dwupiętrowym jeszcze przytułek położniczy. Schronienie dla chorych na umyśle ma się składać z 23 pokoi na 100 osób. Przytułek położniczy zajmie 10 pokojów. — *Wiek* podał szczegół znamienny, który wybornie charakteryzuje wpływ rozbójniczo prowadzonej produkcyi wielko-fabrycznej na gospodarkę rolną i warunki zdrowotne ludności wiejskiej: „Nadbrzeżni mieszkańcy rzek Neru, Łodki i Dobrzynki skarżą się już od lat kilku, że wskutek zanieczyszczenia owych rzek odpływami fabrycznymi, ponoszą zbyt wielkie straty w inwentarzu i gospodarstwie swojem. Dawniej rzeka Ner i jej dopływy, Łódka i Dobrzynka, były nader rybne i stanowiły główne arterye, nawadniające obszerne łąki i zarośla, położone wzdłuż ich brzegów. Dzisiaj są one raczej wielkimi kanałami i ściekami dla odpływów fabrycznych. Dawna ich błękitna powierzchnia, przerzynająca obszerne lasy i zarośla, zamieniła się dziś na czarną, brudną strugę nieczystości, wydającą nieznośną woń. Konie, bydło, ptactwo domowe, a nawet dzieci i niekiedy dorośli tracą życie skutkiem picia tej wody. Dokonana analiza wykazała znaczną zawartość różnych ciał chemicznych, jak np. aniliny, chlorku siarki itd. Nieznośna zaś woń zatruwa w okolicy powietrze i jest przyczyną wielu chorób wśród ludzi. Siano i trawa z łąk nadbrzeżnych nie są zdatne na paszę dla inwentarza. Dwory i gminy, położone nad owemi rzekami, wołają od lat kilku o pomoc i obronę. Lecz skargi ich nie odniosły dotychczas żadnego skutku, lub co najwyżej pocieszano ich niekiedy wieścią, że już fabrykanci łódzcy i pabianiccy opracowują projekt oczyszczania odpływów fabrycznych. Dlatego też nadbrzeżni mieszkańcy rzek Neru, Łódki i Dobrzynki postanowili obecnie wysłać deputacyę z prośbą o zobowiązanie fabrykantów łódzkich i pabianickich do przedsięwzięcia środków zaradczych." — Korespondent *Kuryera War.* donosi, iż skutki zeszłorocznego krachu budowlanego odbiły się bardzo ujemnie na tegorocznym ruchu, który niesłychanie był ograniczony pod względem ilości wzniesionych nowych budowli. To też wcześniej, niż zwykle, skończy się w r. b. sezon budowlany, gdyż kilkanaście nieruchomości już na ukończeniu. Mimo to wiele lokalów sklepowych i mieszkań dotąd czeka na lokatorów po cenie znacznie zniżonej. Są to rezultaty kilkoletniej gorączki budowlanej, zakończonej smutnym epilogiem dla spekulujących domami i placami, które, zamiast spodziewanych korzyści, dały znaczne straty. Jest jednak wielu, którzy na spekulacyach tych dorobili się fortuny wówczas, kiedy okoliczności spekulacyi sprzyjały. Jako przyczynek do powyższego może posłużyć fakt, że liczne cegielnie, zaskoczone stagnacyą budowlaną, zaczęły wysyłać tego roku cegłę do Warszawy, a obecnie znaczna jej ilość idzie do niektórych guberni Cesarstwa.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Dzienniki petersburskie donoszą, iż główny zarząd poczt i telegrafów wprowadzi we wszystkich biurach telegraficznych 8-godzinną pracę obowiązkową urzędników.

Arteli giełdowej kożuchińskiej zaproponowano wysłanie 60 stowarzyszonych na posady przy monopolu wódczanym w gub. Warszawskiej i Lubelskiej. Propozycyę przyjęto.

— W *Peterb. Wied.* Nabludatiel proponuje społeczeństwu polskiemu i rosyjskiemu, aby zajęły się wyświetleniem spraw bieżących, a przedewszystkiem wyjaśnieniem kwestyi, że wykład języka polskiego po rosyjsku bynajmniej nie szkodzi narodowości a stanowi konieczność państwową.

— *Mir. ołgolski* w artykule p. t. „Polska i Finlandya" porównywają położenie obu i domagają się zniesienia przywilejów finlandzkich.

— Senat wyjaśnił, iż Żydówki, mające prawo zamieszkiwania w całem państwie, tracą ten przywilej po wyjściu za mąż, o ile mężowie z prawa tego nie korzystają.

Pieniądze. Ogłoszono ukaz Najwyższy, który brzmi jak następuje. „Imiennym ukazem naszym z d. 15 stycznia 1897 r. rozkazaliśmy wybijać i wypuszczać w obieg monetę złotą, z oznaczeniem na imperyałach ceny 15 rs., a na półimperyałach 7 rs. 50 kop. Zarządzenie to, uczyniwszy nominalną wartość monety złotej odpowiednią jej cenie, określonej do wymiany na bilety kredytowe, umocniło wartość państwowych biletów kredytowych na złoto i ustaliło obieg tych biletów i monety złotej na jednakowych zasadach. Z postanowieniami rzeczonego ukazu Naszego pozostają w sprzeczności wydane poprzednio rozporządzenia prawodawcze co do zabezpieczenia w złocie emisyj państwowych biletów kredytowych. Skutkiem tego, oraz celem oparcia na trwałej podstawie wypuszczania w obieg państwowych biletów kredytowych, postanawiamy: Państwowe bilety kredytowe wypuszczane są przez Bank państwa w ilości ściśle ograniczonej niezbędną potrzebą obiegu pieniężnego i zabezpieczonej monetą złotą. Ilość złota do zabezpieczenia biletów kredytowych powinna wynosić co najmniej połowę ogólnej sumy wypuszczanych w obieg biletów, jeżeli suma tych biletów nie przewyższa 600 milionów rubli. Bilety zaś kredytowe, znajdujące się w obiegu po nad sumę 600 milionów rubli, powinny być zabezpieczone złotem przynajmniej w stosunku rubel za rubel, tak ażeby na każdych 15 rub. w biletach kredytowych przypadało zabezpieczenie w złocie na sumę co najmniej jednego imperyała."

Szkoły. W Petersburgu powstaje prywatna szkoła elektrotechników w celu przygotowania pomocników inżenierów.

Zdrowie publiczne. *Sybir* donosi, iż pomimo wszelkich środków zapobiegawczych, dżuma wybuchła w Japonii, o czem zawiadomiono urzędownie administracyę Władykaukazu.

— Rada państwa zatwierdziła budowę nowych szpitalów w Kaniowie, Taraszczy i Wasylkowie gub. Kijowskiej.

— Rząd brazylijski wyznaczył nagrodę 110,000 dolarów (205,000 rs.) temu, kto wykryje bakterye żółtej febry i drugą takąż sumę dla tego, kto znajdzie środek skutecznego jej leczenia.

— Na posadę inspektora urzędu lekarskiego m. Warszawy przedstawiono jednego tylko kandydata, p. Puszkina, lekarza tutejszego komitetu policyjno-lekarskiego.

— Departament lekarski podaje do wiadomości, iż od 9 do 15 sierpnia w Bombaju zmarło na cholerę 220 osób. Celem ochrony granicy rosyjskiej od zawleczenia epidemii zarządzono środki kwarantannowe i lekarskie.

Wystawy i zjazdy. Jednocześnie z wystawą międzynarodową hodowli ptactwa odbędzie się r. b. w Petersburgu zjazd hodowców.

— Instytut międzynarodowy statystyki, którego posiedzenia zamknięto w Petersburgu przed kilku dniami, zajął się sprawą spisu jednodniowego ludności całego świata. Z referatu uczonego Körösi'ego dowiadujemy się, iż na urządzenie spisu w d. 31 grudnia 1900 r. zgodziły się już: Austrya, Węgry, Belgia, Włochy, Dania, Szwecya, Norwegia,

Portugalia, Brazylia, Japonia, Urugwaj. Do tej grupy zaliczyć jeszcze trzeba Stany Zjednoczone, jako kraj, odbywający spisy stale w latach, kończących się zerem, tudzież Niemcy, których spis wypada d. 1 grudnia 1900 r. Co się tyczy innych krajów, Rosya odpowiedziała, iż po kosztownym spisie tegorocznym radaby urządzić drugi dopiero w 1910, Anglia — iż nie może zmienić daty już wyznaczonej d. 6 kwietnia 1901 r., Francya — 1901 rs. Dwie te odmowy, Francyi i Anglii, są drugorzędne z uwagi na różnicę kilkomiesięczną zaledwie. Hiszpania stale urządza spisy w latach kończących się na ósemkę. Ponieważ instytut koniecznie pragnie myśl swoją przeprowadzić, uchwalono więc ostatecznie popierać daty d. 31 grudnia 1900 r. i dla spisu wszechświatowego opracować formularze jednolite, których rubryki obejmować będą: imię i nazwisko, płeć, wiek, położenie rodzinne, stan cywilny, zawód, wyznanie, język w użyciu codziennem, wykształcenie, miejsce urodzenia, narodowość, zwykłe miejsce zamieszkania itd. Następny kongres (6-ty) statystyczny odbędzie się w Chrystyanii.

— W Lublanie odbył się kongres słowiański.

— Okazy, przeznaczone na lutową wystawę międzynarodową ptactwa domowego w Maneżu Michajłowskim w Petersburgu, korzystać będą z bezpłatnego przewozu kolejami.

Koleje i komunikacye. D. 11 b. otwarto ruch na dystansie kolei Syberyjskiej od Władywostoku do Chabarowska.

Przemysł i handel. W kopalni „Niwka," największej w kraju, przerwano robotę. Czerpano tam 320 do 350 wagonów dziennie. Pracowało 2,000 robotników. Towarzystwo sosnowickie zawiadomiło swoich odbiorców, że zadośćuczynić ich potrzebom nie może. Zaczęto sprowadzać węgiel ze Szlązka, ale pomimo to wielu fabrykom grozi brak paliwa.

— We Francyi zbiory tegoroczne dały zboża o 40 milionów hektarów mniej, niż przypuszczano.

— *Mir. otg.* zapewniają, że w celu walki ze sztucznem podwyższaniem cen zboża, skarb państwa ma wziąć w dzierżawę kilka wielkich młynów i mąkę sprzedawać po cenach zniżonych.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu A. K. Czemuż Pan zwraca się z tą pretensyą do nas, a nie do *Słowa?*

Syzyfowi. Myśl zacna, wierszowanie prawidłowe, ale poezyi nie ma.

— Skutkiem trudności zabrania dużego pakunku w daleką podróż, sprzedam **roczniki „Prawdy" z ostatnich 15 lat za 30 rs.** z przeznaczeniem tej sumy na cele dobroczynne.

Tom II.gi
PISM
Aleksandra Świętochowskiego

wyszedł i zawiera:

Tragikomedya prawdy:

On i ona, Z pamiętnika, Sam w sobie, Moja głowa. Klub szachistów, Ona.

Testament Alego, Starzec i dziecię, Cholera w Neapolu.

Cena rs. 1 k. 20; przesyłka pocztowa kop. 15

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 5 Сентября 1897 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.